ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 6. 9 LUTEGO 1935 ROKU

WESOŁA BITWA ŚNIEŻNA
PRZED KĄPIELĄ W PRZERĘBLU

CENA 1 ZŁ.





LILIAN HARVEY



wyrusza po nowe laury do Hollywood

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie“ – Zapisujcie się na członków L. O. P. P.!

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 6 9.II.1935

ZBIGNIEW GRABOWSKI

NIEMCY HITLERA

I.

Heroiczny okres hitleryzmu, okres gorączkowego wrzenia i zapowiedzi, parad i hałasu— zakończył się. Oto wniosek, który gruntuje się i umacnia w mózgu człowieka, który przejechał Niemcy na rozległej trasie wielu setek kilometrów: Olsztyn — Berlin — Essen — Duisburg — Düsseldorf — Aachen — Stuttgart — Norymberga —Drezno — Opole — Bytom.

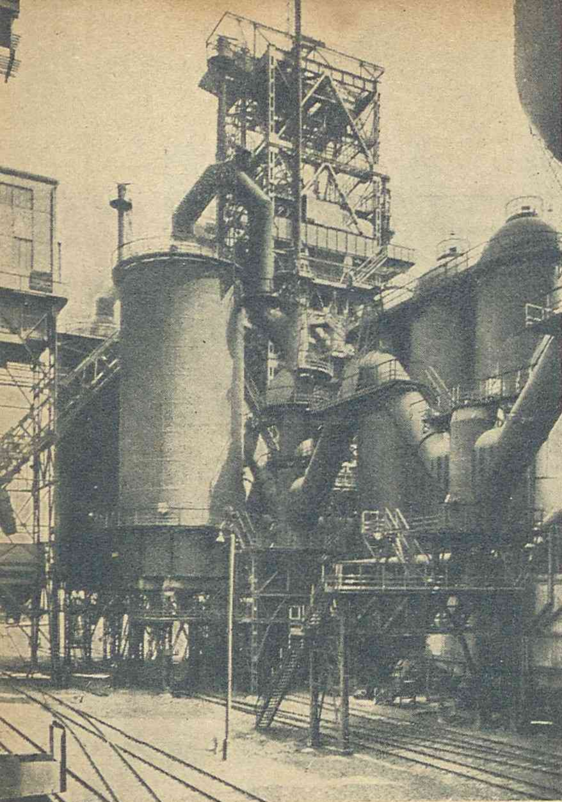
Nie jest to nic nowego, nie jest to żadna rewelacja. Jest to tylko naoczne potwierdzenie słów, jakie wypowiedziane zostały już znacznie wcześniej przez — samego Adolfa Hitlera, zaznaczającego w jednej z mów, że „rewolucja nacjonal - socjalistyczna już się skończyła". „Führer" zdawał sobie sprawę, że byłoby rzeczą niebezpieczną popuścić zbyt długo cugli powszechnemu entuzjazmowi i paradjerstwu. Niemiec pożąda silnej władzy, łaknie jej niemal fizycznie — ujęcie w „drill", objęcie myślenia przez kogoś innego napawa go uczuciem rzetelnej satysfakcji.

Okres tego kipienia, profuzji słowa i parady zakończył się. Zaczął się dzień powszedni: „der graue Alltag". Zwłaszcza Berlin poddał się szybko temu ostygnięciu atmosfery, temu przejściu w dzień roboczy. Mało uświadczysz tu mundurów, mało podniesionych rąk—mało nastroju święta. Passa uroczystości przeciąga jeszcze prowincją, gdzie zawsze pewne formy zewnętrzne trwają dłużej. W Norymberdze czy Olsztynie, w Sztutgardzie czy Opolu napotkałem żywe echo tych wszystkich spraw, tego heroicznego okresu, który tworzył swoją legendę, swoich patronów, swoich świętych.

Ruch hitlerowski,— jedno z najciekawszych zagadnień zbiorowych, jakie nam dała doba obecna, specjalizująca się w ruchu mas i poddaniu jednostki masie — ustabilizował się, chce pokojowo wniknąć w głąb. Widać to na każdym kroku. Stara się on pochwycić w swoje ręce i zmonopolizować wszelaką akcję i inicjatywę społeczną i trzeba przyznać, że na wielu punktach ma do zanotowania wielkie zdobycze. Oto taka „Winterhilfe", pomoc zimowa dla biednych, której aparat propagandowy jest doskonały. Ta „*WH*", jak się w skrócie nazywa, woła do nas w każdym punkcie Niemiec z napisów, plakatów, wezwań, fotografij. Apeluje do nas puszkami, składkami. I w rezultacie przynosi wiele miljonów. I olbrzymie zapasy żywności na przetrwanie zimy.

Niemcy są dzisiaj pełne powagi. Berlińska zabawa nocna przepadła, jak sen. Wszelkie kabarety upadły na duchu, rewje są budujące, a girlsy źle zbudowane, słynne nocne lokale tchną nudą. Czuje się, że wszystko to należy do przeszłości. Niemcy nie mają dziś głowy do tych spraw.

Tak, *napięta powaga,* oto nuta, która najbardziej może zanotowała się w mej pamięci, jako ogólne wrażenie z Niemiec. Powaga widnieje w twarzach szturmowców, powaga w młodych twarzach harcerzy, którzy odbijają obcasami



Zakłady Kruppa w Essen

bruk. Czuje się w powietrzu brzemienne zdarzenia, czuje się, że każda godzina dokonuje jakichś bardzo ważnych ruchów i przesunięć.

Bo wydaje mi się, że dzisiaj nikt nie wie w Niemczech poza samym „Wodzem", co właściwie będzie. Poza nim i poza — może — Goebbelsem. Przecież Hitler jest dzisiaj *źródłem wszelkiej władzy i prawa*, przecież on wziął na siebie trudne zadanie „czystki" swej partji.

Dzisiaj odwołuje się do Berlina Helmutha Brücknera, wielką figurę Śląska Opolskiego; w Opolu jest dalej jeszcze ulica jego imienia. I oto okazuje się, że Brückner — tę oddawna lansowaną pogłoskę potwierdziła już dzisiaj oficjalnie cała prasa za Niemieckiem Biurem Informacyjnem (DNB) — jest umysłowo chory. Brückner nie wróci na swoje stanowisko, będzie leczył się w sanatorjum. Żona jego otrzyma zaopatrzenie.

Niemcy są w stanie wielkiego oczekiwania. Czujemy tę dynamikę oczekiwania niemal że pod brukiem. Wiemy, że dzikie wprost energje wprawione są w ruch. Wiemy, że poza oświadczeniami generała Blomberga o „zabawie w armję" przez oddziały hitlerowskie kryje się tragedja tych właśnie oddziałów, które wyniosły na swych ramionach władcę dzisiejszego. Wiemy, że w sumieniu Hitlera muszą się rozgrywać potężne konflikty: pogodzenie Reichswehry, pamiętającej wiele rzeczy, choćby tylko gen. Schleichera — z jego rewolucją nacjonalsocjalistyczną.

Mussolini wyrastał ponad swoich towarzyszy marszu na Rzym olbrzymio. Hitler szedł do władzy powoli i zbyt wielu miał *wspólników* zwycięstwa. Zbyt wielu konkurentów. Utrzymanie tego wszystkiego w ryzach wymaga już niebywałej siły nerwów.

Na tę grę wewnętrzną Niemiec patrzeć trzeba z powagą i spokojem. Ironiczne pokpiwanie z takich czy innych przejawów wielkiego ruchu mogą praktykować tylko ludzie, którzy Niemiec nie widzieli. Nie widzieli tego, jak ruch ten zawładnął młodzieżą i jak porwał ją. I to jest zrozumiałe: jest to ruch apelujący do wyobraźni, ruch młodości i rozmachu, ruch wielbiący energję. Młodzież nie mogła pozostać na boku. I trzeba z zastanowieniem i rozwagą spojrzeć na liczne dokonania realne tego ruchu. Zastanowić się nad wznoszonemi gmachami, nad trasowanemi drogami, nad rzucaniem nowych linij kolejowych. Trzeba patrzeć z otwartemi oczyma na to wszystko, co się widzi — i czego się nie widzi. Bo dla przybysza przelatującego przez Niemcy z wielu względów wiele rzeczy musi pozostać w ukryciu. Pozostają one w ukryciu nieraz i dla tych, co tam siedzą latami. Chodzą tylko głuche wieści, że wyrabia sie to, to wynaleziono, taki nowy środek walki chemicznej, że produkcja stali...

Wielka gorączka biegnie żyłami Niemiec. Proces nie jest skończony. Nie—on się dopiero zaczął. Zszedł poniżej poziomu widowisk, rewij, masówek — trawi teraz organizm potężnego narodu, który naprzekór niechęci wielkiej części narodów europejskich wierzy w to, że jest narodem osobliwym i wybranym. Co więcej — niechęć ta, akcentowana np. ostatnio przez Anglję, umacnia tylko tę wiarę. Niemcy przeżywają renesans swojego mesjanizmu, który od czasów wojny leżał w ruinie. Trzeba uważnie śledzić koleje tego mesjanizmu. Nie jest to mesjanizm polski: cierpienia i uległości. Mesjanizm niemiecki uznaje, że trzeba było cierpienia i poniżenia — ale tylko poto, ażeby dźwignąć się jeszcze mocniej, jeszcze wyżej.

Dyscyplinowany naród niemiecki wytrzyma, chociażby nawet cierpiał chwilowo takie czy inne braki, choćby nawet przeżywał wahania waluty. Jest bowiem narodem, gdzie mistycyzm krwi, gdzie hasła krypto-religijne: religji narodu i rasy znajdą posłuch i glebę podatną. Dlatego ten naród pracuje, walczy, wierzy. Nie wolno tego lekceważyć. Kto bagatelizuje prężność Niemiec—czyni wielkie głupstwo.



Stuttgart — nowoczesne gmachy w centrum miasta

WALKA O SZKOŁĘ POLSKĄ

Przed trzydziestu laty studenci i sztubacy, dziś panowie pod pięćdziesiątkę, wówczas „buntownicy", teraz w niepodległem własnem państwie ludzie na stanowiskach publicznych lub prywatnych, a na tle tych zasadniczych przemian — jeden niezmieniony duch — oto w kilku wierszach streszczone pierwsze wrażenie ze Zjazdu uczestników walk o szkołę polską.

Kilkanaście godzin, spędzonych razem na zebraniach dyskusyjnych i towarzyskich, przeniosło nas w dawne czasy, w te pamiętne dni styczniowe i lutowe 1905 roku, kiedy młodzież opuściła szkoły, jawnie dając wyraz swej niezłomnej woli studjowania w szkole polskiej w Polsce. Nastąpiło kilka lat trudności niezwykłych: konieczność organizacji prywatnego szkolnictwa własnemi siłami nietylko bez pomocy państwa, ale wbrew państwu, konieczność obrony szkoły prywatnej nawet przed swoimi, gdyż niebrakło ludzi z tych czy innych pobudek przeciwnych strejkowi szkolnemu, wreszcie konieczność znalezienia formuły, umożliwiającej strejkującym otrzymanie dyplomów państwowych i zarobkowanie — wszystko to okazało się możliwe do przezwyciężenia i dało społeczeństwu naszemu bodziec do pracy o własnych siłach, do liczenia tylko na siebie. Działali młodzi, ale ówczesne wypadki na terenie szkół wyższych i średnich wywarły głęboki wpływ na psychikę starszego pokolenia i raz na zawsze przecięły drogę odwrotu do ugody z wrogiem.

Fakt napozór niewielki, wystąpienie kilkudziesięciu szkół męskich i żeńskich z protestem przeciw rusyfikacji, okazuje się w następstwach doniosły jako odgraniczający dwa okresy życia zbiorowego.

W atmosferze wspomnień, wytworzonej przez Zjazd, nie brakło i wspomnień osobistych. Jakże nie wspomnieć owej chwili — dnia 11 lutego 1905 roku, — gdy przypadł mi wielki, teraz dopiero w całej pełni oceniany przezemnie zaszczyt przemawiania w imieniu kolegów po polsku do dyrektora gimnazjum. Było to „u Chrzana", jak nazywaliśmy gimnazjum Chrzanowskiego, gimnazjum rosyjskie, chociaż prywatne i chociaż właścicielowi szlify generalskie nie przeszkadzały być Polakiem. Z radością wspominam ten dzień, nastrój, jaki wśród nas panował, skupienie i ciszę w chwili, gdy koledzy: Zygmunt Czajkowski i Zygmunt Sznajder wręczali dyrektorowi tekst odczytanych mu naszych żądań.

Ale Zjazd nie pozwolił mi snuć spokojnie tych wspomnień. Przemówienia nawiązywały do przeszłości, ale się niemi nie zadowalniały: nie dla samych reminiscencyj nas zwołano. Od pierwszego przemówienia prezesa Stan. Dobrowolskiego poprzez wszystkie mowy i dyskusje przebijała troska o teraźniejszość i o przyszłość, o dziecko polskie w Polsce i poza jej granicami. Żywo poruszył wszystkich red. Stpiczyński, podnosząc potrzebę ostatecznego zerwania z użyciem kary cielesnej, której nie zna nasze wojsko, a z którą, niestety, spotykamy się jeszcze wśród wychowawców i wśród rodziców. To był jeden z najważniejszych momentów dyskusji co do stosunków wewnętrznych. Niemniej zainteresował zebranych prezes Hełczyński, któremu jako stojącemu na czele Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą przypadła rola generalnego referenta tej niezmiernie doniosłej i trudnej do rozwiązania kwestji: jak miljonowi dzieci polskich poza granicami Rzeczypospolitej zapewnić to, o co walczono przed trzydziestu laty i co stanowi niezbędną podbudowę narodowej kultury, szkołę polską?

Nie można zagadnienia tego pomyślnie rozstrzygnąć bez materjalnych środków. Słusznie ci, którzy znali dawną ohydną szkołę pruską czy rosyjską, postanowili w swem gronie dokładać wszelkich starań, by środki te powiększać i by materjalnie i moralnie wspierać tych, którzy nie uważają za skończoną walki o przyrodzone prawa dziecka do nauki w mowie ojczystej i którzy walkę dalej — oby z jaknajlepszym skutkiem — prowadzą.

Opuszczaliśmy Zjazd pod hasłem: pomoc dla *FUNDUSZU SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ!* Konto czekowe P. K. O. 21.895.

W. Olszewicz.

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY*)

W polskim świecie naukowym wydarzył się doniosły fakt: pojawił się pierwszy zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego, przyoblekając wreszcie w realny kształt wspaniałe przedsięwzięcie, podjęte przez Polską Akademję Umiejętności.

W pełnem poczuciu powagi i ważności zadania przez kilka lat obmyślano organizację wydawnictwa, zbierano materjały, dyskutowano nasuwające się problemy dotyczące układu i rozplanowania biografij. Czytelnik otrzymujący do rąk zeszyt Słownika nie zdaje sobie pewnie dostatecznie sprawy, ile jego wydanie wymagało zabiegliwej i mozolnej pracy legjonu uczonych, studentów, skrzętnych poszukiwaczy archiwalnych — ile tu zadano sobie trudu, aby wydawnictwo postawić wzorowo, aby uczynić je możliwie najpełniejszem, by nie pominąć nikogo, komu się w Słowniku miejsce należy, i ustrzec się jednocześnie od wprowadzenia doń osób zbędnych. Ile tu potrzeba naukowego, bezstronnego krytycyzmu, jakiej odpowiedzialności sądu.

Komitet Redakcyjny został utworzony z uczonych polskich działających na terenie środowisk uniwersyteckich, prócz tego powołana została Rada Słownika, złożona z reprezentantów towarzystw i instytucyj naukowych. Ponadto zostały powołane w ważniejszych środowiskach naukowych Komitety Regjonalne.

Pierwszą — i zasadniczą zarazem sprawą, którą podjęto, było utworzenie kartoteki nazwisk mających się znaleźć w Słowniku. Prace te według kompetencyj podzielono między specjalistów odpowiednich działów. Powstawały więc osobno kartoteki wojskowych, lekarzy, przyrodników, literatów, uczonych i t. p.

Z setek nazwisk wydobytych na światło dzienne Komitet Redakcyjny wybiera tylko te, które odegrały rzeczywistą rolę w naszem życiu, i powołuje odpowiednio uzdolnionych fachowo autorów do napisania życiorysów.

Chcąc uniknąć dowolności oceny nie opierającej się na ściśle określonej argumentacji, wypracowano uprzednio, na zasadzie ankiety, rozesłanej między najpoważniejszych przedstawicieli naszej nauki, pewne kryterja kwalifikujące.

Ustalono ponadto nawet formę obowiązującą piszących odnośne artykuły, zalecono zwięzłość, rzeczowość, podawanie najważniejszych momentów z życia, ostrzeżono przed zbytnią literackością ujęcia, przed moralizatorstwem, lub ujawnieniem swych przekonań politycznych czy społecznych. Dla zapewnienia też daleko idącej bezstronności postanowiono poumieszczać tylko życiorysy ludzi zmarłych. Wiele dyskusji wywołał sam układ artykułów i podział Słownika na tomy; po wahaniach postanowiono Słownik wydawać systemem angielskim, wzorowanym na pomnikowem w tym względzie wydawnictwie „Dictionary of national Biographies", to znaczy alfabetycznym, z tomami na końcu uzupełniającemi, zawierającemi bądź nazwiska pominięte przez przeoczenie, — przybyłe w czasie druku, bądź też nazwiska osób, które zmarły w okresie preliminowanym na tę pracę (lat 25).

W taki więc sposób, dzięki inicjatywie najpoważniejszej w Polsce instytucji naukowej, przy udziale setek ludzi powstaje pomnikowe dzieło, odbijające jak w zwierciadle polską kulturę.

Artykuły w niem zawarte zainteresować mogą i powinny nietylko uczonych, ale i wszystkich czytelników inteligentnych.

J. Puciata-Pawłowska.

*) Polski Słownik Biograficzny. Kraków 1935 r. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. Tom I. Zeszyt I.

BRUNO WINAWER

MEDALJON CIELĘCY

Siedzieliśmy w restauracji, spokojnie, mówiliśmy o rzeczach obojętnych i wybuch — przyznaję — nastąpił trochę nieoczekiwanie. Kolega — literat, nazwijmy go byle jak — Dyzio, spojrzał na jadłospis, dostrzegł coś, uśmiechnął się boleśnie, gorzko, zadzwonił, uderzył nożem w talerz gwałtownie.

— Da mi pan — powiedział ze łzą w głosie kelnerowi — *medaljon cielęcy* z groszkiem.

A gdy mu ów „medaljon" przynieśli, uśmiechnął się jeszcze boleśniej:

— *Jedyne odznaczenie*, jakie posiadam... Wyobraź sobie, wszystkie nagrody literackie mnie ominęły! A jest ich przecież tyle: dla młodych, dla starych, dla jarych, dla podtatusiałych, dla niezależnych. Za dramat, za powieść, za działalność, za tłumaczenie. Są nagrody warszawskie, łódzkie, zakroczymskie, dziecięce, państwowe, prywatne, komunalne, gminne i z Zagłębia. Nic! Co pewien czas budzą nagle człowieka po nocy, jak za czasów rosyjskich. Alarm! Rewizja! Pokazać papiery, polot wyobraźni, wznieść się na wyżyny! Spocznij! I znów: świat przygarnąć do łona, sięgnąć, gdzie myśl nie sięga, język wzbogacić, obrót! I jeszcze raz: sięgnij do wnetrza trzew! zatargaj! Spocznij! Następny!

Dyzio westchnął, dziobnął melancholijnie widelcem sałatkę:

—Za lat szkolnych męczyło mnie to najbardziej, gnębiło, bolało, że zawsze się znalazł w klasie jakiś pilniejszy, obrotniejszy ode mnie, jakiś bestja prymus i wyłapywał wszystkie piątki, a mnie zostawiał słabe tróje. Przychodziłem — pamiętam — do domu, rodzice kiwali nade mną głowami, oglądali cenzurę, wzdychali żałośnie. „Nie możesz to sobie brać przykładu z Bledepruskiego albo Cynobera? Co z ciebie wyrośnie, chłopaku? Zastanów się!" Zastanawiałem się, rzuciłem to wszystko do „wielkiej frybry majowej", wziąłem się do profesji wolnej, do pióra. Przez pewien czas żyłem jako - tako. Przetrwałem złe czasy, ożeniłem się. Nagle — to samo! Przychodzę do domu, żona patrzy na mnie przez łzy. Już wiem, co to znaczy. Znów jakaś bestja Cynoberski czy Akwamaryński dostał nagrodę stowarzyszenia welocypedystów ideowych, zaawansował na prymusa, gazety podają jego życiorys, aforyzmy, biurko i profil, a ja... Siedzę, jak siedziałem, na ostatniej ławce, znów zostałem na drugi rok... Nie odznaczyli... Co z ciebie wyrośnie? — myśli żona. Nie dali — obciąłem się!

Próbowałem go pocieszyć.

— Widzisz, Dyziu, mówiłem — czasy są okrutne, trzeźwe, racjonalne, co tu gadać —amerykańskie. Ludzie miękkiego serca doszli do wniosku, że literat sam sobie nie da rady, że go tramwaj przejedzie na ulicy, albo autobus. Chcą go wziąć łagodnie pod ramię, nieboraka, chcą mu trochę dopomóc, niedołędze.

— Literat dzisiejszy nie jest wcale takim znowu niedołęgą. Jest nas — braci piszącej — z tysiąc chłopa. Płacimy podatki — i to wyniesie na pewno lekko licząc z kilkaset tysięcy złotych rocznie — a kto nie płaci, to traci granatowy garnitur i meble, bo komornik przychodzi, pieczętuje, zabiera i licytuje. Jeżeli społeczeństwo poczciwe i gminy chcą nam z tej pokaźnej sumy kilka groszy zwrócić — zgoda, owszem. Stróż naszej kamienicy usunął się niedawno w zacisze życia prywatnego, wrócił na zagon, na rolę, ale sprzedał przedtem miejsce i klucz od bramy następcy swemu za ...*9 tysięcy złotych!* Otrzymał zatem za działalność dotychczasową więcej od Iłłakowiczówny. Ale — niech tam, wszystko jedno, dobra psu i mucha, chcecie — urządźcie loterję, wrzućcie nas wszystkich — od Askenazego do Żongołłowicza — do koła i niech sierotka jaka albo kanarek czy gołąbek wyciągnie karteczkę z nazwiskiem.

— Sam wiesz, Dyziu, że rzecz nie ma najmniejszego znaczenia. Taka sobie — niedorzeczna zabawa towarzyska, sądy, wybory, spory, dyskusje, życiorysy, plotki, złośliwości. Gra w cenzurowanego, kotyljon — nie warto o tem myśleć... Głupstwo. Czem się tu przejmować?

— Wiem! Rozumiem! Prus nie miał nagrody, Dygasiński. Jeden ze świetnych pisarzy amerykańskich, późniejszy laureat Nobla, Sinclair Lewis, odrzucił ongiś nagrodę Pulitzera, bo doszedł do słusznego wniosku, że go taka pompa i ceremonja krępuje, ośmiela, ośmiesza, że mu odbiera odwagę cywilną, zmniejsza celność i zasięg słowa. Literatura jest pewną misją, czasem trudną, niebezpieczną, odpowiedzialną. Pisarza nie można premjować, jak byka, koguta, indyka, jak się odznacza salceson i majonez na wystawie kucharskiej i dynię na wystawie ogrodniczej... To właśnie stale perswaduję godzinami mojej żonie. Ale — gadaj z kobietą! Powiada, że mąż Krysi ma, mąż Basi ma, brat Kasi dostanie. Na Żoliborzu niektórzy już mają po dwie nagrody literackie. W niektórych kamienicach co drugi lokator to laureat. A ja nic...

— Najzabawniejsze — ciągnął dalej Dyzio —że spotkałem niedawno tego Cynoberskiego, którego mi w latach szkolnych zawsze za przykład stawiali, prymusa — bestję. Był na posadzinie w jakimś urzędzie obrachunkowym, ale go zamroczyło, pomylił się w bilansie, wyleli go. Chodzi trochę obdarty, mam wrażenie, że się rozpił. I Bledepruski, drugi uczeń, fenomenalny, zbyt wiele nie zdziałał — ma kolekturę czy skład apteczny, wynalazł system brydżowy czy maść na świerzbę. Skarży się —nie idzie mu. Ma wzrok mętny, wyłysiał, zdziadział... Żona go puściła kantem.

Kto wie, czy potomność nie obejdzie się równie bezceremonjalnie z prymusami literackimi, jak życie z prymusami gimnazjalnymi. Urządzi sobie własną superrewizję zaocznie, wtedy, kiedy już nas nie będzie na świecie. Da członkowi Akademji skład apteczny, a ucznia z oślej ławki wyciągnie na szczebel najwyższy; zrobi aptekarza z laureata i przyzna wawrzyn literacki aptekarzowi. Ale — gadaj z babą! Powiada, że Kalesoński jest nieśmiertelny, Majtkiewicz nim będzie w przyszłym roku, a ja siedzę trzydzieści lat w tej samej klasie, na tem samem miejscu — i nic! Nie awansuję! Co się to, u licha, stało na naszem podwórku literackiem! Ktoś je napełnił rejwachem i wrzaskiem. Olimp jest chyba gorszy od Kercelaka!

Dyzio huknął pięścią w stół, aż brzękło.

— Panie, — rzekł do kelnera— nie zna pan jakiego cichego, spokojnego zajęcia, chciałbym zmienić zawód. I niech pan zabiera ten medaljon — straciłem apetyt. Znów kogoś nagrodzili — nie mogę wrócić do domu... Co ja memu dziecku niewinnemu powiem? Stróż mnie do bramy nie wpuści...





Pejzaże Stanisława Żukowskiego z Puszczy Świsłockiej

ETATYZM KULTURALNY

Jako dalszy ciąg dyskusji na temat Ustawy Bibljotecznej zamieszczamy ważniejsze ustępy listu, nadesłanego do Redakcji przez znaną działaczkę społeczną.

Przez pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości panowała u nas naiwna wiara we wszechmoc Państwa: zdawało się, iż wystarczy uchwalić odpowiednie ustawy, aby podnieść kulturę Polski na niebywałe wyżyny!

Po kilkunastu latach doświadczeń wiemy już, że ustawa, bardzo piękna na papierze, w życiu daje czasem rezultaty wręcz przeciwne zamierzeniom. Dlatego to — rzecz bardzo rzadka obecnie — obozy zwolenników i przeciwników projektu ustawy bibljotecznej nie pokrywają się bynajmniej z obozami politycznemi. Raczej można powiedzieć, że ludzie, mający doświadczenie w pracy kulturalno-oświatowej — a znający niewiarogodną wprost nędzę polskiej prowincji, — są zdecydowanymi przeciwnikami — zwolennikami zaś są „idealiści", nie znający środowiska, dla którego ustawa jest przeznaczona i nie badający rozwoju życiowego eksperymentów już dokonanych. Przypomnę tu losy pewnych zamierzeń hygieniczno - kulturalnych ministra spraw wewnętrznych: przed kilku laty wieś polska więcej wydawała na budowę budyneczków, mieszczących ubikacje, o których się nie mówi, niż na budowę szkół. W rezultacie, szkół brakuje — a budyneczki nieużywane w najmniejszym stopniu nie poprawiły warunków sanitarnych wsi...

Przysłowie francuskie mówi: „qui trop embrasse, mal etreint". U nas etatyzm podjął się znacznie więcej, niż wykonać może. Do niewątpliwych obowiązków Państwa należy to wszystko, czego nie może zrobić jednostka ani organizacja dobrowolna. Bibljoteki mogą być zakładane i przez jednostki — a już ich zadania kulturalne organizacje dobrowolne spełnią napewno znacznie lepiej. Frazes o „zorganizowaniu na szeroką skalę przymusowego czytelnictwa" — jest tylko frazesem, któremu nie odpowiada żadna rzeczywistość realna. W chwili obecnej ściągnięcie dodatkowo około 100 milj. zł. z bezprzykładnie zubożałego społeczeństwa (2 zł. 65 gr. — trzydzieści kilka miljonów ludności) jest czystą niemożliwością; przypuściwszy jednak, wbrew prawdopodobieństwu, że uda się drakońskiemi środkami wydobyć kilkadziesiąt miljonów — to można zorganizować przymusowy zakup książek; czytelnictwo jednak, kultura ogólna nic na tem nie zyska — raczej jeszcze ucierpi. Ustawa o przymusie nauczania powszechnego nakłada na państwo obowiązek dostarczenia ludności szkół i nauczycieli; państwo nie może spełnić tego obowiązku względem dzieci — więc... przyjmie nowe obowiązki względem dorosłych?....

Podatki i wszelkie kategorje przymusowych opłat publiczno - prawnych zabierają tak niewspółmiernie wielką część dochodu społecznego, że olbrzymia większość „obywateli" zmuszona jest „obywać się" bez wszelkich wygód i ponęt kultury. Projektowanie więc , poprawy interesów wydawców i przywrócenia normalnych stosunków z autorami" — kosztem ludności, wegetującej na dnie nędzy, zakrawa na cynizm!

Głód umysłowy budzi się dopiero po zaspokojeniu głodu fizycznego. Chłop, dla którego sól do ziemniaków często bywa niedostępnym zbytkiem, nie może odczuwać głodu książki. Natomiast zaspokojenie pewnego minimum dobrobytu wywołuje szybki wzrost potrzeb kulturalnych. Opowiadał mi niegdyś ś. p. Kasprowicz, jak szybko wzrastały potrzeby kulturalne chłopa wielkopolskiego: w domach swoich krewnych i znajomych, średniozamożnych gospodarzy, spotykał nietylko pisma rolnicze, ale i kosztowne wydawnictwa ilustrowane. Tam książka była istotnie „potrzebą niezbędną" — bo zaspakajaną „*obok* pracy i chleba" wedle maksymy Sieroszewskiego — a nie *zamiast*.

Niemniej zasadnicza jest kwestja, komu będzie powierzona opieka nad bibljotekami i czytelnictwem. Z okropnych doświadczeń ubezpieczalni wiemy, jak bardzo trudne jest przeprowadzanie ideowych założeń za pośrednictwem biurokracji. A przecie bibljoteki gminne, które mają dotrzeć do najbardziej zapadłych zakątków, będą w ieszcze gorszem położeniu. Czy jesteśmy tak bardzo pewni, że typ Zołzikiewiczów już wygasł?...

Dr. M. Zawadzka.

SZTUKA I KULTURA FINLANDJI

(rozmowa z p. Helmi Krohn, wybitną pisarką finlandzką)



Kobieta finlandzka przy pracy.

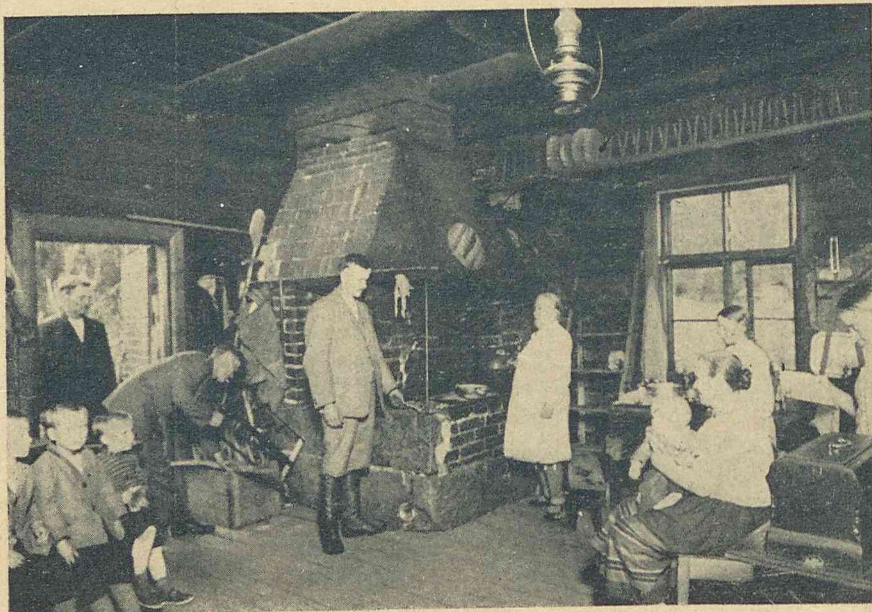
Finlandja współczesna jest jednym z krajów, o których wiemy może najmniej, jeśli idzie o kulturę i sztukę współczesną. Jeszcze mniej o literaturze finlandzkiej, nie posiadamy bowiem dotąd niemal zupełnie przekładów.

To przedewszystkiem spowodowało, że korzystam z gościny sekretarza Penklubu tamtejszego, bardzo wybitnej pisarki, pani Helmi Krohn, aby niezależnie od jej syntetycznego wykładu o Finlandji prosić ją o wywiad dla naszych czytelników. Pierwsze wrażenie żywo przypomina mi Sigridę Undset, u której spędziłem latem r. ub. jedno z najczarowniejszych popołudni. Ta sama majestatyczność postaci, duże, myślące, ciemne oczy i tyle prostoty w rozmowie, ile mistycyzmu spotkałem u dalekiej pustelnicy w Lillehammer...

Pani Krohn, mimo obce brzmienie nazwiska, jest finlandką z krwi i kości, córką zasłużonego dla kultury swego kraju redaktora J. Krohna, twórcy prasy ilustrowanej w Helsinkach. Opowiada mi o swoich pierwszych zainteresowaniach literackich, o „grzechach młodości", jak nazywa kilka swoich wczesnych powieści. Unika szczegółów autobiograficznych, natomiast opowiada mi obszernie o życiu literackiem i artystycznem Finlandji z lat ostatnich.

„Jesteśmy dumni, mówi mi dostojna rozmówczyni, że posiadamy kilku pisarzów o sławie światowej, jak Sillampaa lub Koskeniemi. Zwłaszcza pierwszy jest najsubtelniejszym wyrazicielem tęsknot naszych do niepodległości. Koskeniemi żywo interesuje się literaturą polską; jednym z tego wyrazów był jego źródłowy odczyt o Mickiewiczu na niedawnej Akademji dla uczczenia stulecia „Pana Tadeusza". Przetłumaczył go pięknie młody pisarz finlandzki, Trast; dzięki temu tłumaczeniu znamy bodaj skrawek twórczości największego z romantyków polskich".

Zapytuję o własną twórczość pani Krohn, niezrażony jej niezwykłą skromnością. Pani Krohn uśmiecha się jakby do siebie; po chwili namysłu pada odpowiedź: „Poza „grzechem młodości", za który uważam swą twórczość powieściową, napisałam długi szereg prac biograficznych, mając na celu uwiecznienie naszych największych postaci literackich i artysty-



Wnętrze chaty finlandzkiej

cznych. Biografja, to mój żywioł, w którvm czuję się najswobodniej. I... propaganda. Dużo podróżowałam, zwłaszcza w latach ostatnich. W samej Anglji udało mi się wygłosić 75 odczytów, na tematy, zbliżone do wygłoszonego wczoraj w Warszawie. Celem ich było zapoznanie zagranicy z naszą kulturą".

— Finlandja składa się, przerywam mej rozmówczyni, z granitu, lasów i wód — czy mamy wierzyć Taine'owi, znajdującemu odbicie ich w literaturze i sztuce?

„Odbicie to znajdzie pan najwyraźniej u naszych twórców poromantycznych, a zatem u Linnakoski i Aho; późniejsi, „wolnościowi" — zwrócili się raczej ku folklorowi, jak Sillampaa. Erotyka znajduje w latach ostatnich coraz więcej wielbicieli. Króluje wśród nich najpoczytniejszy — Waltari. W muzyce, jeśli pan woli, mamy Sibeliusa — jego poematy, to mocne i piękne odbicie naszego kraju... On sam, to wielki i czarujący człowiek.

Zapytuję o innych twórców współczesnych, o Palmgrena, o uniwersytet w Helsinkach, na którym wykłada jeden z najsławniejszych slawistów, nasz dawny i wypróbowany przyjaciel, prof. J. J. Mikkola. Wspominamy jedną z ostatnich „entuzjastek", panią Mailę Mikkola, z którą łączą panią Helmi Krohn bliskie węzły koleżeństwa. Finlandja nie poznałaby ani Sienkiewicza, ani Orzeszkowej, gdyby nie jedyne ich przekłady, dokonane przez Mailę Mikkola.



Fiński typ ludowy

Finlandja, mająca, jeśli idzie o długie lata niewoli politycznej, tyle z nami wspólnego, interesuje się żywo nurtem życia kulturalnego w Polsce. Niestety, na przeszkodzie stoją olbrzymie różnice językowe i absolutny brak tłumaczeń. Pani Krohn, jako sekretarka Pen-Klubu finlandzkiego, rzuca śmiałą i praktyczną zarazem myśl stałej wymiany kulturalnej z Polską, podobnie jak istniejąca ze strony fińskiej — z Węgrami.



Nowy gmach parlamentu fińskiego

Ma żywą nadzieję, że Pen-Klub polski podejmie inicjatywę, aby zamiar ten uskutecznić.

Żegna się ze mną serdecznie, udając się wgłąb naszego kraju, do Krakowa i Zakopanego w poszukiwaniu „czwartego elementu": — gór ośnieżonych i szczytów, których niestety granitowa Finlandja nie posiada.

Dziękując mojej rozmówczyni za tak chętnie udzielony wywiad, podzielam jej pogląd odnośnie konieczności bliższego poznania kultury intelektualnej Finlandji w zupełności.

Wł. Burkath.



Smosarska, Zelwerowicz i Barszczewska

Fot. St. Brzozowski

ŚWIAT TEATRU

TEATR NARODOWY

„Wielki człowiek do małych interesów“ A. Fredry. Reżyserja A. Zelwerowicza, dekoracje i kostjumy T. Roszkowskiej i W. Ujejskiego.

Mało jest starych komedji polskich, któreby przy pozornej błahości tak wiele rzucały światła na niektóre przemiany społeczne, jak „Wielki człowiek do małych interesów“. Komedja obyczajowa z jednym aktem farsowym — bez pedanterji dysertacji historycznej tłomaczy w kilkadziesiąt lat po śmierci autora coś, czego Fredro w całej pełni sam nie dożył: powstanie nowej warstwy socjalnej — t. zw. „inteligencji“ miejskiej pochodzenia szlacheckiego.

Jenialkiewicz — to nie oryginał, chodzący luzem, w jednym egzemplarzu. Jenialkiewicz — to protoplasta całej nowej kasty w Polsce, to człowiek, który dokonał przewrotu społecznego w naszym kraju. Matoł i jałowy gaduła — przy wszystkich pozorach zapracowania —Jenialkiewicz Fredry chodzi dumny ze swych wyczynów, ze swych bezsensownych pomysłów, ze swej utracjuszowskiej gospodarki, ze swej roli opiekuna sierot, — opiekuna, który im przez głupotę niszczy majątki. Taki Jenialkiewicz w pewnym okresie swego życia przegadał zawsze swój majątek — a wtedy szedł do miasta... „piastować“. Oczywiście — piastować urząd. Jego pupile czynili chętnie i z zapałem to samo: i tak narodziła się nasza ukochana biurokracja, kubek w kubek podobna do Jenialkiewicza wraz z jego jałowemi dysputami, sążnistemi rozprawami o niczem, jego kurzą ślepotą, niewiarogodną lekkomyślnością i stosami niepotrzebnych papierków.

Jest inna jeszcze cecha naszej szlachty, podkreślona może z pewną szarżą w znakomitym akcie czwartym tej komedji. Widzimy tam ilustrację jednego z najmniej sensownych powiedzeń w Polsce: „Gość w dom, Bóg w dom“. Poczciwy młodzieniec, który ma do załatwienia dwie sprawy niecierpiące zwłoki: spotkanie z ukochaną i staranie o posadę — nie może od rana wyjść z domu. Nie może, bo mu nie pozwalają się ubrać najmilsi goście, spadający mu na kark bez przyczyny i bez celu. Możnaby przypuszczać, że to farsowa przesada, że tak nigdy nie bywało, a tembardziej nie bywa obecnie. Pojedźcie do znajomych na wieś, a zobaczycie.

Ale i dzisiejsze życie w mieście jeszcze nie bardzo różni się pod tym względem od staropolskich, ziemiańskich obyczai. Wszyscy znamy ludzi, którzy nietylko cudzego domu, ale i miejsca pracy nie uszanują, i wstępują „tak sobie“ na pogawędkę, z nudów, nie zważając wcale, że człowiekowi współczesnemu, a więc człowiekowi pracującemu, zabierają to co jest wogóle najdroższe i bezpowrotne: zabierają mu czas. Fredro, do szpiku kości polski szlachcic, znał z własnego doświadczenia rozkosze gościnności — to też najście odwiedzin u Dolskiego jest jednym z najzabawniejszych momentów tej sztuki.

„Wielki człowiek do małych interesów“ znalazł w Teatrze Narodowym znakomitą oprawę i świetnych odtwórców. Zelwerowicz jako reżyser nadał komedji nowy smak przez przesunięcie jej ku grotesce, a dekoratorzy i twórcy kostjumów — Roszkowska i Ujejski — zrozumieli intencje reżysera i stworzyli odpowiednio zabawne kostjumy i dekoracje.

Zelwerowicz — aktor dał może Jenialkiewicza zbyt sympatycznego: za poczciwy, zbyt miły, a niedość matołkowaty. Ale i w tej formie był Jenialkiewicz postacią znakomitą.

Figurą równorzędną jest Dolski, nieśmiały młodzieniec, aspirujący dość bezradnie do uczuć panny Anieli i do „piastowania“ posady w Towarzystwie Kredytowem. W chwili gdy się nieśmiały młodzieniec rozruszał — w akcie najścia gości — Maszyński był niezrównany. Narastanie w tym zahukanym poczciwcu wściekłości i buntu aż do chwili wybuchu oddane było z tak świetnie stopniowanem crescendo, tempo słów i gestów stało się tak zawrotne, a wyładowanie nagromadzonych uraz tak wymowne i komiczne, że zupełnie słusznie przyjęto ten akt ogłuszającymi oklaskami.

Reszta wykonawców stała najzupełniej na wysokości zadania. Czarująca była Smosarska w roli czupurnej Matyldy, swobodna, pełna finezji i naturalnego wdzięku. Grabowski w epizodycznej rólce wywołał wybuchy śmiechu samą swą aparycją, Fritsche z niedużej roli starego domownika zrobił żywą i charakterystyczną postać, Barszczewska wyglądała bardzo ładnie, Pawłowski i Sawan dobrze odegrali role młodych kompanów Dolskiego, a Hajduga, Małkowski i Łapiński wnieśli dużo ruchu i humoru. Jako całość — przedstawienie fredrowskiej komedji należy do najlepszych, jakie widzieliśmy w bieżącym sezonie.

Z. N. Ch.

Najście nieproszonych gości — Małkowski, Maszyński, Łapiński, Grabowski, Hajduga, Zakrzewski.



„DZIADY" W TEATRZE POLSKIM



Widzenie księdza Piotra

Fot. St. Brzozowski

Dziwne są koleje, które przechodziły „Dziady", wystawione w Teatrze Polskim. Po kilku dniach chłodnego „succès d' estime", kiedy widownia świeciła pustką, zdawało się, że trzeba będzie zdjąć je z afisza, bo poprostu nie było dla kogo grać. Dyrekcja jednak uznała słusznie, że wielki wysiłek, który w to przedstawienie włożono, nie może iść na marne. Postanowiono utrzymać „Dziady" na afiszu. Zniżono ceny biletów do połowy, początek spektaklu naznaczono na godzinę siódmą, i zaczęto grać arcydzieło Mickiewiczowskie co drugi dzień, naprzemian z komedją francuską „Pan Topaz".

I cóż się okazało? „Dziady" roznamiętniły widownię. Jest na nich stale przepełnienie, publiczność reaguje niezmiernie żywo — słowem pozycja, którą uważano za propagandę „dla honoru domu" przeistoczyła się w jeden z największych sukcesów sezonu. Może rozumne posunięcia administracyjne dokonały tego cudu — a może poprostu trafiła wreszcie na „Dziady" ta publiczność, która z początku ociągała się jeszcze: publiczność nowa, młodzież, kulturalnie świeża warstwa pół-inteligencji, rzemieślnicy, etc.

Istnieją rzesze ogromne, które „Dziadów" z czytania nie znają. Z braku czasu, czy z braku zainteresowania — wszystko jedno. Wzięcie książki do ręki, wysiłek umysłowy potrzebny do wniknięcia w myśl twórcy — nie są tym ludziom dostępne. Natomiast teatr jest dla nich zrozumiały. W teatrze obcowanie ich z „Dziadami" — bardziej wizualne niż myślowe — jest łatwiejsze.

Jeśli w tym celu wystawiono „Dziady" — to przyznać trzeba, że osiągnięto go w całej pełni. Choć nie znaczy to wcale, aby zrobiono z „Dziadów" przedstawienie popularne. Wielki talent reżyserski Schillera dał „Dziadom" ujęcie tak swoiste, tak dalekie od dotychczasowego szablonu, że raczej oczekiwać należało, iż dawni fanatycy „Dziadów" przyjdą je oglądać w nowej inkarnacji, chociażby dla porównania z tem, jak grano to misterjum dawniej.

Świeżość ujęcia, jaką odznacza się reżyserja Schillera, przetworzyła wiele pozycji, które zdawały się już raz na zawsze ustalone. Więc np. nie pokazano nam materjalizacji duchów podczas nocy „Dziadów". I stało się znakomicie.

Reżyser Schiller wydobył owe wizje znacznie inteligentniej i sugestywniej: dźwięki, dymy, ognie, światła, głosy — i wzrok wymowny skupionego tłumu, który wskazuje nam, gdzie widzi zjawę.

„Rewolucyjnemu" ujęciu reżyserskiemu Schillera odpowiadały znakomicie dekoracje Andrzeja Pronaszki, syntetyczne, wymagające od widza pewnego wysiłku fantazji — a jednak w swej lapidarności niezmiernie wymowne. Bardzo piękne, patetyczne niebo, i na tem tle trzy krzyże — to była dekoracja stała, trwająca przez wszystkie odsłony. Fragmentaryczne uzupełnienia, charakteryzujące miejsce akcji, wstawiano przed każdą odsłoną — i osiągnięto bardzo prostymi środkami efekty doskonałe. Tylko cela więzienna i mieszkanie księdza — przestrzenie ciasne i ściśle zamknięte, — sprawiały wrażenie fałszu pod tem bezgranicznem niebem, które ani ciasnoty więzienia ani zaciszności wiejskiego mieszkanka oddać w żaden sposób nie mogło.

Z mądremi, artystycznie wytrzymanemi dekoracjami nie harmonizowały niestety kostjumy. Autor ich skromnie zachował incognito. Autora może zresztą wcale nie było. Kostjumy wyglądały, jakby je wydobyto ze starej garderoby operowej — zwłaszcza suknie dam na balu u senatora, niebardzo zdecydowane co do epoki, niezupełnie poinformowane co do stylu, tchnęły jakimś naftalinowym pseudorealizmem, który nie miał nic wspólnego z przemyślaną ekspresjonistyczną stylowością tła.

Równie niedociągnięte, jak kostjumy, były maski aktorów. Tylko ksiądz Piotr ze swym profilem Savonaroli, z fanatycznemi oczami jasnowidza — miał maskę harmonizującą ze stylem Pronaszki.

Poza temi usterkami przedstawienie stało na bardzo wysokim poziomie. Pod czujnem kierownictwem Schillera aktorzy dali z siebie maksimum wyrazu. Węgrzyn w arcytrudnej i olbrzymiej roli, w roli, gdzie co krok wzniosłość przeistoczyć się może w śmieszność — był przez cały czas znakomity. Ani jednego fałszywego akcentu, ani cienia sztucznego patosu: olbrzymi ból, który przybrał postać ludzką. A w scenie z księdzem Piotrem dwoistość tonu, niesamowita zmiana maski, epileptyczne skręty, nowy jakby cudzy głos — wyrażały w sposób dojmujący rozdwojenie osobowości. Wspaniała i wspaniale zagrana scena.

Wybitnie zarysował się również Wierciński w roli księdza Piotra. Nietylko wyrazista maska, ale piękny głos, kamienny spokój zewnętrzny przy wewnętrznym ogniu, który zdawał się spalać wizjonera, powściągliwość ruchu, wymowa spojrzenia — złożyły się na całość roli, która zwróciła odrazu oczy publiczności na tego artystę. Guślarz znalazł w Buszyńskim wcielenie doskonałe: nienaganna dykcja, świetny gest. Samborski był w swoim żywiole: jego denerwujący astmatyczny oddech tutaj był właśnie na miejscu. Bestję w ludzkiem ciele, miotaną strachem i niskiemi popędami, odtworzył ze wspaniałym realizmem. Rollisonowa w wykonaniu Wysockiej miała niezmierzony ból matki, może tylko zbyt monotonnie wygrała go na jednej nucie. Reszta zespołu — kilkadziesiąt nazwisk na afiszu — dostroiła się do głównych bohaterów. Nie było ani jednej fałszywie postawionej roli. Baczne oko reżysera czuwało w każdej chwili.

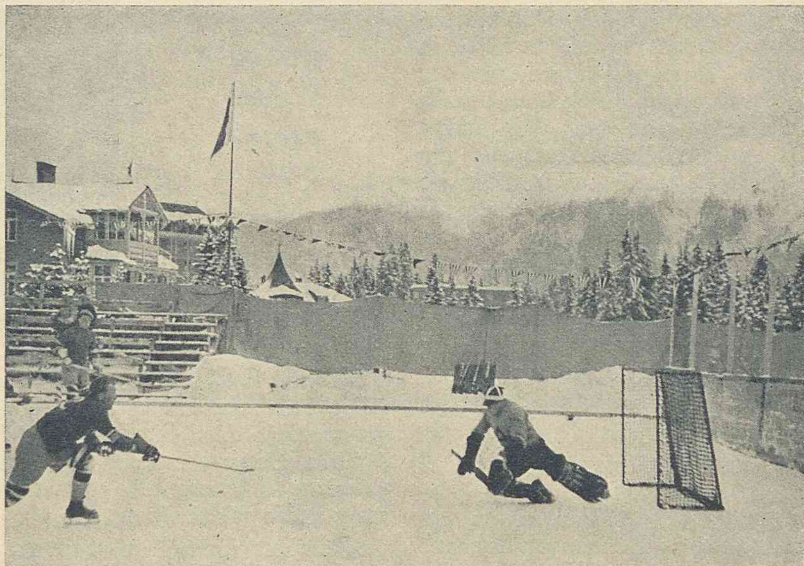
Niezwykła ta realizacja „Dziadów" powinna wejść do żelaznego repertuaru naszych teatrów, jako jedna z najcenniejszych jego pozycji.

Z. N. Ch.

POLSKI HOKEJ ZAGRANICĄ



Po zwycięstwie polskiej drużyny hockeyowej nad czechosłowacką drużyną „Sparty" w Arosie — bramkarz Słogowski otrzymuje od maleńkiej wielbicielki jego gry bukiet białych i czerwonych goździków.





U góry: Głowacki — doskonały strzelec naszej drużyny reprezentacyjnej, strzela pierwszą bramkę „Sparcie" — objechawszy obronę czechosłowacką.

U góry: W spotkaniu Niemcy — Polska w Davos po nieudanej robinzonadzie bramkarza niemieckiego — krążek wędruje do bramki niemieckiej

Na prawo: Po świetnem przejechaniu przez całą drużynę włoską Sokołowski pakuje krążek do bramki włoskiej, strzelając pierwszą bramkę (Davos).



W RYTM KROKU POLSKICH NARCIARZY...

W OBLICZU OLIMPJADY

Biała, młodziencza międzynarodówka — światowe narciarstwo przeżyło po Wojnie Światowej trzy swoje, co cztery odbywające się lata — olbrzymie Igrzyska. W roku 1924 w Chamonix, w r. 1928 w St. Moritz i wreszcie w 1932.

Ostatnia Olimpjada, urządzona w Lake Placid w Ameryce, niepokojąco już zwracała uwagę na szczupłą, lecz intrygującą, a zarazem budzącą respekt ekspedycję polską.

Albowiem odbywające się corocznie od roku 1926 Międzynarodowe Mistrzostwa Europy, czyli t. zw. Mistrzostwa F. I. S., wprowadziły pomiędzy niepokonanych dotychczas synów Europy północnej— Skandynawów i Finnów — pierwszego, niepokaźnego z wyglądu, lecz lwie ujawniającego pazury— Polaka, Bronka Czecha, który w czasie odbywających się na naszym terenie Mistrzostw F. I. S.'a w Zakopanem — pamiętnej mroźnej zimy 1929 — zajął w kombinacji a więc konkurencji przynoszącej tytuł mistrza, 4-te miejsce w ogólnej klasyfikacji, tuż po Norwegach i Finnach. A przez to samo zdobył faktycznie przez wszystkich uznawany tytuł mistrza Środkowej Europy.

To też 7-me miejsce Br. Czecha na Olimpjadzie w Lake Placid, acz poprzedzone przez Czechosłowaka Bartona, utrwaliło jak najlepszy sąd narciarzy całego świata o ich polskich przeciwnikach.

Ale oto drugi już raz Polak wdarł się tryumfalnie w zbite szeregi Skandynawów i Finnów. W czasie bowiem zeszłorocznych mistrzostw Europy w samej jaskini lwa, w Solleftea — równie bodaj górskiej, jak Zakopane, miejscowości szwedzkiej, młodziutki, ledwie 20-letni Marusarz Stanisław, będąc w skokach trzecim, zdobywa w kombinacji 7-me zaszczytne miejsce, tuż po Norwegach, a przed wszystkimi gospodarzami — Szwedami, z których najlepszy Westman zajął dopiero 8 miejsce.

Po tak świetnie rozpoczętej karjerze narciarskiej — stoimy w obecnym, ostatnim przedolimpijskim roku w dziwnym impasie organizacyjnym. Wydaje się wprost, jakbyśmy obecnie przechodzili głęboki kryzys w narciarstwie sportowem.

Wiadomo, że materjał, acz nieliczny na pokaz, posiadamy przecież — u szczytów — pyszny.

Bronek Czech, po pewnym okresie pewnego, lekkiego spadku formy, rozpoczął bodaj ponownie wracać, ale może do jeszcze wyższej, niż przed kilku laty, doskonałości sportowej. Wspaniale rozrosły, mężniejący niemal z każdym miesiącem, wprost w oczach —Staszek Marusarz — rozmach, siły, ambicje i nadzieje ma obiecujące — ponad wszelką chłodną kalkulację. Tym dwom godnie sekundują Izydor Łuszczek, Karol Szostak i Andrzej Marusarz, stryjeczny brat Staszka i jego rówieśnik. Pięknie skacze Piotr Kolesar, a w maratonie może dojść do silnego głosu Karpiel Stanisław, Skupień St., Górski M., Orlewicz... Ci dwaj też do kombinacji pójdą.

Istnieje dalej paru narciarzy, startem, wiekiem lub wynikami młodszych od wymienianych najlepszych, ale niewątpliwie godnych następców tamtych. Pierwsi w najbliższej Olimpjadzie odegraliby niewątpliwie ważną dla zamanifestowania naszego w narciarstwie światowem stanowiska—rolę, drudzy nabraliby szlifu międzynarodowego i nauczyliby się pewnie wiele od najlepszych — jeśliby wszyscy teraz już u siebie prowadzili intensywne, do tych największych Igrzysk narciarskich — przygotowania.

Teraz, gdy zaledwie jeden rok dzieli nas od IV Olimpjady Zimowej — w Niemczech, a nasi najlepsi narciarze na Mistrzostwach Niemiec w Garmisch Partenkirchen zapoznali się z terenami tamże przygotowywanej O l i m p j a d y — obowiązek nasz wspólny wobec „polskiej sprawy narciarskiej" — i w łonie władz narciarskich, P. Z. N. i w społeczeństwie, jakoteż w Państwie — powinniśmy sobie uświadomić plastycznie. A wówczas, gdy polski sztandar załopoce nad wielotysięczną i wielojęzyczną rzeszą międzynarodową na białych polach bezkrwawych bitew i gdy zadźwięczą instrumenty obcej, dalekiej orkiestry tonami naszego hymnu narodowego, słuchanego z „pola" walk narciarskich przez całą przynajmniej Europę — powiemy sobie z dumą:

— Wraz z Bronkiem Czechem, Marusarzami, Łuszczkiem, Kolesarem, Orlewiczem, Górskim, Skupieniem, Karpielem — przypomnieliśmy się światu dobrze.

Dobitnie zademonstrowaliśmy sąsiadom ad oculos naszą tężyznę i sprawność fizyczną. A zarazem hart i dyscyplinę — moralną, bez których niemasz trwałego i wielokrotnego tryumfu mięśni, płuc i serca.

Zakopane. *Fr. Olbrychski.*



Grupa narciarzy polskich, w Dolinie Pięciu Stawów: Bochenek, Czech, Wowkonowicz i Orlewicz

Fot. Olbrychski

Ferdynand Goetel na trybunie sędziowskiej na Lipkach w Zakopanem. Obok z prawej dr. H. Szatkowski, nacz. Wydziału Turystycznego Min. Komunikacji, z lewej Adam Krzeptowski, twórca filmów tatrzańskich, Andrzej Krzeptowski i Fr. Olbrychski.





Rzymski most w Missis

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

ANATOLJA

Asfaltową szosą wspinamy się w górę. Ostatni rzut oka na dwa miasta, tak dziwacznie odrębne w swym stylu i stajemy do walki z prawdziwie dzikiem bezdrożem Anatolji. Walka ta trwa cały tydzień, ale wychodzimy z niej zwycięsko.

Droga z Ankary do Gölbasi przypomina złą szosę. Teren górzysty, ruda, glina, zbocza pokryte zielenią laurów. Szybko zmienia się charakter pejzażu. Znika zieleń. Jedyna roślinność to suchy, drobny oset o barwie płowo - rudej. Góry i wzgórza przybierają formy pogniecionych poduszek i babek z piasku. Raz podchodzą do drogi tuż, to znów się oddalają, pozostawiając szeroki rudy step przed nami. Góry przybierają nietylko dziwaczne formy, ale jeszcze dziwniejsze barwy. Od intensywnie rudej przez płową, to znów mienią się wszystkiemi tonami fjoletu, inne są blado - błękitne, popielate, czarne, jak wygasłe kratery wulkanu, pokryte lawą i żużlem. Co jakiś czas z tej gamy barw wytryska olśniewająco białą plamą złom marmuru.

W Bala, małem miasteczku, na uliczkach zawianych pyłem i na polach przydrożnych walają się sponiewierane okruchy kolumn i kapiteli z czasów rzymskich.

Typ chłopa, spotykany poprzednio na drodze, był uderzająco podobny do typu bułgara. Tu, o dziwo, odziany w zgrzebne płótno stoi u wrót glinianej chatki dostojny rzymianin — Turek, tak jak i inni.

Dalej olśniewająco - biała droga, droga usypana z tłuczonego marmuru. Bokami intensywnie rude wzgórza, popękane białemi szramami rozpadlin. Szosa marmurowa jest piękna, ale straszliwa dla opon, jedzie się objazdem wyrytym w żyznej glinie. Wąwozem raczej, niż drogą, maszyna idzie nachylona do drogi pod kątem prostym, koło wózka góra, motor na dole, bo inaczej wiesza podwozie na garbie koleinowym. Rola balastu jest w takiej chwili bardzo ważna. Trzeba siedzieć na zewnętrznej poręczy wózka, trzymając się mocno ręką i cały ciężar ciała wraz z nogami wyrzucić na zewnątrz. Ta gimnastyka trwa całemi godzinami. Chwilami przestaje być nawet zabawną. Gorsze chwile są jednak wtedy, gdy niebacznie powróci się na coś, co teoretycznie na mapie nazywa się szosą. Raz to są białe lub różowe marmury — bynajmniej nieuwałowane, to znów umarła szosa o dziurach podobnych do przepaści, porośnięta ostem i rozchodnikiem. Najbardziej niebezpieczne są kawałki dobrej szosy. Wtedy po nabraniu rozpędu napewno wpadnie się na most, który już dawno przestał być mostem i zwisa, jak urwany łachman, nad wyschłem łożyskiem strumienia, lub trzyma się kilku głazami, szczerząc zęby dziur wielkości motoru

Ruiny koło Toptakatte



W południe jemy naszą sakramentalną dunię i chleb u studni z białego marmuru. Wysoki drewniany żuraw i zamiast stołków rzucone dwa kapitele kolumn — korynckiej i doryckiej. Przychodzą osiołki do wodopoju, siadają chłopi anatolijscy, by sobie podjeść i wygapić się na cudzoziemców, tak bardzo dla nich egzotycznych.

Słońce zachodzi. W małem miasteczku prymitywny stary meczet. Stajemy, by się napatrzeć. Zatrzymuje nas policja. Przez tłum ponurych, sparaliżowanych żebraków przeciska się do mnie śliczny chłopiec. „Come sta signorina". Po włosku, po serbsku zaczynamy paplać na wyścigi. Nasz nowy przyjaciel idzie pieszo z Belgradu do Adany i już od tygodni zapomniał, jak wygląda europejczyk.

Nocleg w polu przed Kirsehir — przy małym szemrzącym strumyku. Pasemko wody przepływa wyżłobionem w białym marmurze korytem i znika w zielonym mchu.

Ciszę nocną przerywają odległe i bliskie krzyki, śpiewy, nawoływania. Wytwarza to nastrój dosyć nieprzyjemny. Nazajutrz wyjeżdżamy na górę i tam wyjaśnia się powód hałasów nocnych. Jak okiem sięgnąć, stoją namioty robotników drogowych. Wrzask, zbiegowisko na widok motoru, wyjaśnienia na migi i po turecku, który objazd jest lepszy.

Przejeżdżamy przez Kirsehir jak zwykle oglądani przez parę godzin przez żandarmów i policję. I tu mamy problem przed sobą dosyć trudny. Za Mucur musimy zdecydować, kędy jechać. Na Arabsun bezdrożem, czy na Kaiseri szosą. Do szosy nie mamy zaufania, na Arabsum piętrzą się przed nami góry. Nadjeżdża auto. W niem dwuch panów uzbrojonych od stóp do głów. Stanowczo odradzają pomysł skrótu i upewniają, że do Kaiseri mamy cały czas świetną szosę. Decydujemy się usłuchać ich rady. O szoso — mogiło wszystkich naszych nadziei, może będziesz kiedyś świetną, ale już nie dla nas.

Droga idzie równym, nudnym stepem. Na odległych wzgórzach słońce kładzie błękitne cienie. Przed nami na horyzoncie lśni białą czapą śniegu szczyt Argée (4000 mtr.). Wjeżdżamy w łańcuch Erdijes przez wrota skalne po kamiennym moście

W piaskowej ścianie jaskółcze gniazda tak, jak w urwiskach niemeńskich, a gdy się zbliżysz podróżniku, staniesz długo zapatrzony — to wieś anatolijska tak, jak każda inna robiona z materjału, który jest najbliżej pod ręką. Więc w piaskowcu, w pieczarach wydrążonych przez wodę, na stepie i złożach marmuru, z gliny, w skałach zwietrzałych, z kamienia. Zdaleka tak się asymilują z kolorytem terenu, że nawet nie można się domyśleć, że to wieś. Zupełny brak zieleni potęguje wrażenie martwoty.

W tych wioseczkach praca wre cały dzień. Chłop orze ziemię sochą zaprzężoną w czarne bawoły, lub górskie krowy. Zboże młóci się na polu. Na saneczkach drewnianych siedzi chłop, a wół ciąga go wkółko po rozłożonem zbożu na ziemi. Potem na dużych drewnianych widłach przerzuca się zmłócone zboże na inne miejsce. Wiatr gra rolę wialni, ziarno spada bliżej, a plewy i słomę układa się w duże złote sterty. Następnie kobiety na dużych sitach ostatecznie oczyszczają ziarno. Miele się zboże we wsi: w dużym wydrążonym kamieniu rozciera je kobieta kamiennym młotem.

Siedemnaście kilometrów przez Kaiseri droga skręca pod kątem prostym na południe. Szlak znośny, upał nieznośny. Złoty pył osiada patyną na białych strojach, na twarzy, wciska się za okulary i do gardła. Pola zielone, winnice i drzewa. Ludzie żywsi, weselsi. Często spotykany koń juczny o cudownych pęcinach. Tu już jest trochę arabów.

Wjeżdżamy do miasteczka. Zdaleka ma się wrażenie, że to skały. — Otwierają się przed nami jakby wrota, grożąc rudym nawisem.

Jak okiem sięgnąć, zbudowane terasami domy i domki, jednolitej i brunatnej barwy, jak zbocza. Przez miasto płynie rzeka. Pod mostem i w brzegach skalnych wykute nory — to też są domy. Dalej znów płaskie zbocza, na nich winnice, laury, oliwki i rude bryzgi skał. — Cudownie — naprawdę zdaje się, że zaraz powieje zapachem morza, ale step znów bierze w swoje prawa.

Zasypany szabrem i kamieniami ośli szlak ostro wspina się pod górę. Raptem ostatni wiraż i stajemy nad wprost bezdennem urwiskiem. U naszych stóp leży cały świat. Pastelowe szczyty gór, ciemne

przepaście i ginąca we mgle widnokręgu szeroka zielona dolina. Słońce kładzie swe ciepłe błyski na błękitnej tafli rzeki. Spadamy w dół na wszystkich hamulcach. Szeroki płowy szlak wykuty w piaskowcu. Przeprawa wbród przez rzekę. Wjeżdżamy do jedynego na świecie miasta. Irgüp. Zdaleka krzyczę, że to starożytne ruiny, nie — to miasto wykute w piaskowcu. Całe domy, tunele, przejścia, ulice najdziwniejsze. Koronka architektury, łukowych sklepień i kolumnady. Znaleźliśmy ten nieznany ósmy cud świata. Chciałoby się zostać, dowiedzieć się od kogoś, kto i kiedy wykonał to arcydzieło. Wieki się złożyły na to pewno, ale nikt nic nie umie powiedzieć.

Za miastem w dalszym ciągu niesamowita rzeźba skał. Droga kuta w piaskowcu, jak stół. Złote i fjoletowe blaski zachodu gasną. Płaskowzgórze opada terasami w dół. W purpurowej poświacie zachodu majaczą czarne sylwetki drzew. Zapada noc. Krajobraz nabiera tajemniczości. Drzewa jak rzędy czarownic stają przy drodze, zeschłe, powyginane, szydzące czarnemi otworami dziupli. Gubimy się w ciemności. I oto przed nami wyrasta niebotyczny szereg topoli. Jesteśmy nie na drodze, lecz w wyschłem łożysku jakiejś dużej rzeki. W białej poświacie księżyca nabiera ta dolina majestatu śmierci. Rozbijamy namiot na srebrnym piasku. Wilcza noc. Chłód nie daje zmróżyć oka. O 3-ej zrana zwijamy swoje lary i penaty. Ręce sztywnieją z chłodu. Nakładamy na siebie wszystkie możliwe ciepłe ubrania. Brr... psio zimno. Nawet old england whisky nie dolewa ognia do żył. Palce przymarzają do metalowych części motoru.

Wreszcie wstaje blade słońce. Na drodze budzi się życie. Jadą nam na spotkanie turczynki na osiołkach, barwnie ubrane, w przezroczystych czarczafach na twarzy. Jadą na pole do pracy.

Otóż i miasteczko Yavashan. Nad miastem króluje ruina twierdzy Seldżuków. Wąskie uliczki bazaru przykryte dachem mat. Na rynku karawana wielbłądów. Wschód w barwach i nastroju. Kobiety o zupełnie zakrytych twarzach.

Pole szerokie i okropnie kamieniste. Droga zasypana głazami. Ruchome usuwa się, przez większe przenosimy motor. Idą długie karawany wielbłądów, prowadzone przez małego osiołka.

Karahisar. Miasto ulepione z brunatnej gliny, częściowo skała. Twierdza dziś jeszcze czynna. Dalej krajobraz ten sam. Góry opalizują coraz bliżej. Zbliżamy się dc Nigde. Na drodze masa wojska. Wjeżdżamy do miasta na chwilę. Tu widzę po raz pierwszy na prowincji pretensjonalnie zeuropeizowaną turczynkę. Kapelusz i futrzany żakiecik mimo upału. Uciekamy coprędzej na szosę, bo opada nas banda ciekawych i wzbudzamy zbyt silne zainteresowanie policji.

Teraz do Ulukisla. Droga dobra. Nowa szosa szoruje serpentynami w górę.

Góry opalowe. Piękno, którego opisać nie sposób. Trzeba siąść z paletą w ręku i malować. Od błękitu nieba srebrne i popielate przechodzą w nieuchwytne tony lila do ciemnego fjoletu, rzucając na siebie wzajem granatowe i szafirowe cienie.

Sen jakiś niesamowity staje się rzeczywistością. Wspinamy się coraz wyżej. Potem dolina wśród szczytów, kamieniste bezdroże. Na halach pasą się stada owiec. Słońce chyli się ku zachodowi. Jedziemy niepotrzebnie do Ulukisla, po drodze płosząc piękne turkmeny. Jakiś przechodzień zawraca nas z drogi. Musimy zrobić skrót, by wrócić na szosę. Głazy i kamienie przebrnięte szczęśliwie. Zapuszczamy się w wąwóz. Wkraczamy w zaczarowane wrota Taurusu.

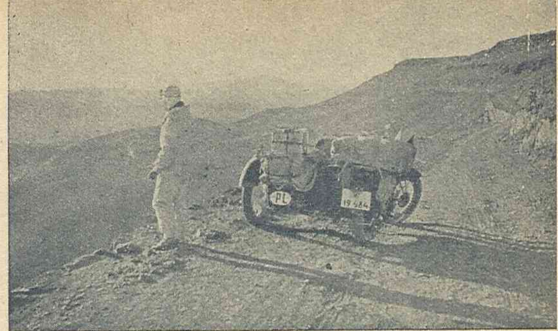
SZLAKIEM RUIN I GROZY

Taurus, góry antyczne, skarbie piękna, dzikości i grozy!

Droga wije się głębokim wąwozem, nad urwistym brzegiem spienionego potoku. Nad nami czarne, bazaltowe złomy, skały spiętrzone w potędze swego ogromu i grozy. Zapada noc. Zakręty coraz trudniejsze bez bandy i barjery. Na jednym z nich studnia sułtańska, przy ognisku obóz. Turbany, noże za pasem czerwonym, „wzrok dziki, suknie plugawe". Dalej, tu spać nie można. Światło reflektora słabnie. Coraz straszniej. W pewnej chwili na zakręcie majaczy szarą plamą skrawek ziemi. Ruiny chatki. Zatrzymujemy się. Jest akurat dość miejsca nad przepaścią, by sprowadzić motor z drogi i rozbić namiot. Po paru godzinach ciemności wstaje jasna, cicha, księżycowa noc. Na drodze w czarnym cieniu skał nie widać nic. Słyszymy echo kopyt końskich, jakiś tęskny śpiew. Z mroku wyłaniają się sylwetki konnych arabów. Zsiadają z koni. Podchodzą. Pozdrawiają. Rozmawiają przyjacielsko na migi. Poszli. A przychodzi i oczy klei sen. Rano znajdujemy skalne przejście w dół do strumienia. Kąpiel pod dużym omszałym głazem. Woda tak zimna, że dech zapiera i rozpalonemi igłami kłuje ciało.

Droga w dalszym ciągu idzie splotem ostrych wiraży. Są chwile, gdy czarne skały zamykają wąwóz; zda się, że wyjścia niema. Potok skacze po złomach bazaltu i białego marmuru. Równa wykuta w bazalcie ławka, gdy natrafi na złoża marmuru, staje się nie do przebycia. Przenosimy motor przez białe głazy. W ciągu całego dnia, w pocie czoła, nieraz i nie dwa waląc się na ziemię z ostatecznego zmęczenia, robimy 80 klm.

Najpiękniejsze góry dzikie i niedostępne, każecie płacić sobie trudem i walką za łaskę podziwiania waszego piękna.



Pejzaż Anatolji

Docieramy do Bozanti. Czy było tam kiedy miasto — nie wiem. Dziś go niema. Góry łagodnieją w charakterze, łożysko strumienia rozszerza się. Ponad wodą stoją nieprawdopodobnie pogięte na konwulsyjnie poskręcanych korzeniach przedwieczne platany. A na skały wspina się tropikalny las. Splątane w kłębowisku zieleni rosną limby, tuje, cisy, bukszpany i laury.

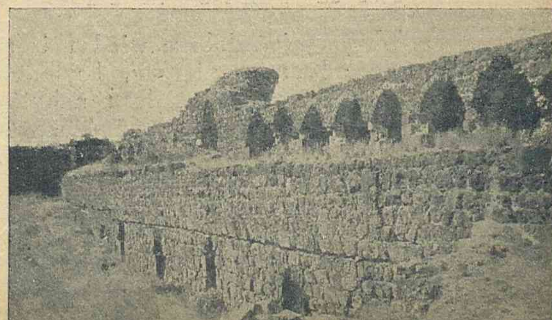
Dolina rozszerza się coraz bardziej. Góry coraz niższe. Pod kołami wozu przemykają kuropatwy. Raz przy drodze wyrasta ogromna agawa, to znów figowy gaj. Jeszcze raz dzikie góry biorą nas w posiadanie. Znika zieleń, samotne limby, brunatne i białe orły szybują nam nad głowami, — najcięższy wjazd. Motor odpoczywa dwa razy.

Przed wieczorem góry przechodzą we wzgórza pokryte gęstą szczotką laurów. Droga jest zła. Nieprawdopodobnie zła. Wyboista i kamienista. Właściwie pasażer wózka idzie pieszo, podbierając co większe kamienie. Spadamy terasami wdół. W blaskach zachodu otwiera się, jak okiem sięgnąć, szeroki step. W dali Tarsus. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie. Pola uprawne, olbrzymie plantacje bawełny. Dwukołowe olbrzymie wozy, zaprzężone w nieprawdopodobnie duże bawoły. Ruch. Dobrobyt. Kultura rolna. Droga rozjeżdżona, ale szosa. Dużo osiedli ludzkich.

Adana. Słoneczne, pełne ruchu miasteczko. Co krok jakieś biuro handlowe, banki, sklepy. Pełna życia, ładna i składna jest ta stolica Małej Armenji. Utrzymała się przy życiu nie tak, jak mniejsze osady armeńskie w głębi Anatolji,— umarłe ruiny domów i zburzone kościoły. Tu po raz pierwszy i ostatni widzę naprawdę zakwefione kobiety. Chodzą w białych, lub rudych szatach z czarnym czarczafem, zakrywającym całkowicie twarz.

Na ulicy zawieram przyjaźń z małym uczniakiem. Rozmawiamy po francusku, studjując na mapie przebytą trasę. Zatrzymujemy się jeszcze kilkakrotnie w

Warowne mury w Anatolji



różnych punktach miasta. Chłopak przedziera się przez zwarty tłum, jest pierwszy przy wozie. W ostatniej chwili wciska mi coś do ręki. Naiwna fotografja z legitymacji szkolnej z podpisem. Tak — zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

Za miastem pole agaw. Przysiadły krzaczaste soczystą zielenią liści, zrzadka strzelając w górę masztem kwiatu. Prawdziwe południe. Droga jest zła i coraz gorsza.

W Missis przejeżdżamy rzekę po prawdziwym rzymskim moście. Teraz nawet małe mostki są rzymskie. Dostaję zabytko - manji. W każdej studni, kamieniu przydrożnym, nawet w samej drodze dopatruję się pochodzenia rzymskiego.

Od Topra Katte sytuacja pogarsza się znacznie. Co kilka kilometrów spotykamy ruiny wspaniałych zamków. Styl wczesnego średniowiecza. Kto je budował? czy rycerze Krzyżowi? Bedekera nie mam, a pytać nic nie pomoże. Każdy budynek, lub ruina w Turcji jest turecka i ma dużo lat.

Przez dwa dni gubimy się w laurowym stepie, znajdując drogę i znowu ją gubiąc. Jeszcze kilkakrotnie przejeżdżamy przez strumienie wbród i jesteśmy u stóp potężnej ruiny. Wspinam się na górę i tam przez łukowe okno widzę zdaleka morze. Nareszcie morze. Upał niedowytrzymania. Walczymy z drogą aż do Erzin. Wioska tonąca w zieleni pomarańczowych i cytrynowych ogrodów. Kupić nie można nic.

Znów mamy przeprawę przez szkielet mostu, zawieszony na wysokości conajmniej 4-ch metrów. Przechodzimy pchając motor ostrożnie i co jakiś czas podkładając kamienie, lub deski dla załatania zbyt wielkich dziur. Nareszcie granica - blisko. Dortyöl. Duże miasteczko. Załatwiamy formalności paszportowe. Do mnie podchodzą wojskowi, z ogromnem zainteresowaniem słuchając o przeprawie przez Anatolję. Nie mają o tych drogach pojęcia.

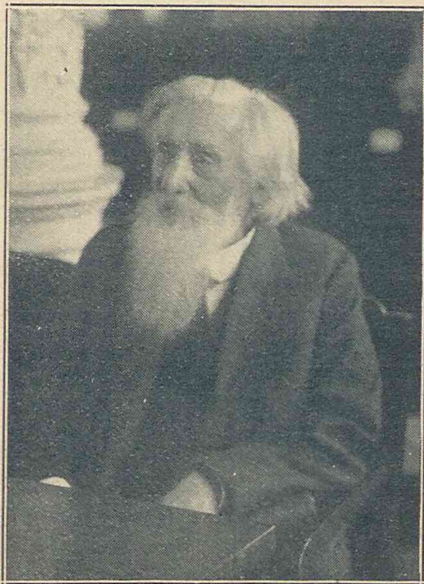
Zdaleka już wieże fortu odcinają się na intensywnie szafirowem tle nieba i wody. Payas. — Stary potężny fort, dziś w ruinie. Całe miasteczko wbudowało się w szczeliny tych murów. Granica w polu pod namiotem. Przetrząsanie rzeczy jak zwykle trwa bardzo długo. Po zaiste rzymskiej drodze zbliżamy się do nowej granicy. Ostatnie spojrzenie na biały meczet Payasu i Turcja jest po za nami.

Żegnaj śliczna Anatoljo, piękna w swej pierwotnej dzikości. Chciałabym jeszcze raz wrócić w twe progi, nim kultura, idąca dużemi krokami, zmieni twe bezdroża na autostrady, a trochę dzikiego chłopa zrówna z farmerem niemieckim. Niestety, boję się, że nie zdążę.

Halina Korolec - Bujakowska

Alexandrette, dnia 6 października 1934 r.

TYDZIEŃ „ŚWIATA”



Bolesław Limanowski

Dnia 1 lutego zmarł w Warszawie, w setnym roku życia, b. senator Limanowski, najstarszy działacz socjalistyczny i wybitny przedstawiciel ruchu wolnościowego.

Urodzony w 1835 r. na Polskich Inflantach, ukończył wyższe studja w Dorpacie, poświęcił się zagadnieniom społeczno - historycznym, uprawiając równocześnie działalność konspiracyjną. W r. 1861, powróciwszy do kraju, zostaje członkiem centralnego komitetu w Wilnie, kierującego akcją powstańczą. Wkrótce zostaje aresztowany i zesłany do gubernji Archangielskiej, gdzie przebywa pięć lat. Po amnestji przyjeżdża do Warszawy, pracując jako zwykły robotnik w fabryce, a w r. 1870 przenosi się do Galicji, skąd wkrótce zostaje wydalony, tułając się po całej niemal Europie przez lat z górą trzydzieści.

Po odzyskaniu niepodległości, bierze czynny udział w życiu politycznem, jako gorący zwolennik P. P. S., którą reprezentuje w Senacie.

Aktywna praca polityczna nie przeszkadza mu w działalności naukowej. Jest autorem „Socjologji” oraz szeregu dzieł społeczno - politycznych.

Z niepokojów naszej epoki

(jj) Generał Weygand, b. przewodniczący francuskiej najwyższej rady wojennej, osiągnąwszy przepisaną „granicę wieku”, przeszedł na emeryturę. Jak oświadcza w wywiadzie udzielonym paryskiemu „Le Journal”, zajmie się obecnie historją armji francuskiej. W tym samym wywiadzie gen. Weygand wypowiada kilka uwag o charakterze naszych czasów. Epokę dzisiejszą uważa za „niepokojącą”. Jeden z objawów niedobrych polegać ma na „przeroście” roli intelektualistów:

„Praca intelektualistów to analiza, „ankieta”. A w bilansie — zwątpienie. Dobrze, gdy w kraju są ludzie, którzy żywią wątpliwości, byleby nie było ich zbyt wielu. Ogół nie powinien składać się z ludzi przeżartych zwątpieniem, zagraża to bezpieczeństwu i zdrowiu kraju. Filizofja na swojem miejscu, praca na swojem. Obok filozofów muszą być ludzie czynu. Aby móc żyć, ludzie muszą zdecydować się na jakąś doktrynę, trzymać się jej, kierować się pewną regułą”.

Zapewne. Naturalnie. Reguły muszą być, doktryny i motory emocjonalne muszą działać. Ale pocieszmy się. Ludzi doktryny, tudzież fanatyków nigdy światu nie zabraknie, a „wątpiących” myślicieli świat nigdy nie będzie miał za dużo.

Jeszcze jeden lekkomyślny!

Czytamy w prasie codziennej wiadomość następującą:

Mieszkaniec Opatówka Stanisław Tomaszewski, właściciel 28 morgowego gospodarstwa oraz wodnego młyna, uzbierał ze swych oszczędności 25.000 złotych, które przechowywał w woreczku pod kluczem w stoliku, obok swego łóżka. Pewnego wieczoru, gdy Tomaszewski wszedł do swego sypialnego pokoju, zauważył brak woreczka z jego zawartością. Policja wszczęła energiczne śledztwo. Złodzieja nie ujęto. Pieniądze przepadły.

Gdyby zamiast wierzyć w swoją „P.K.O. w młynie" młynarz zaufał był prawdziwej P.K.O. — miałby do dziś swoje pieniądze. Ale podobno na głupotę rady niema...

Na poniewierkę

(jj) Nowa tragedja: dola uchodźców z Zagłębia Saary. Ludzie ci skazali się na ciężkie wygnanie i niewiadome losy. Unikną zemsty rodaków, ale drogo przypłacą swoją postawę antyhitlerowską.

We Francji nie dostaną „karty pracy", nie mogą więc marzyć o zarobku. Liga Narodów „nie znalazła" środków materjalnych dla roztoczenia nad nimi opieki, czego domagała się Francja. Minęły też czasy, kiedy emigracja polityczna budziła żywą sympatję w tym czy innym kraju i kiedy emigrantom takim okazywano pomoc. Świat jest teraz twardy i zimny.

Jeszcze parę tygodni, a tragedja emigrantów z Saary będzie zapomniana.

Narazie przebywają w barakach, szopach i halach fabrycznych wkilku nadgranicznych miejscowościach francuskich.

A co dalej?

Dziennik paryski „Le Jour" donosi, że postanowiono utworzyć nowy pułk Legji Cudzoziemskiej, złożony z uchodźców z Zagłębia Saary. Jedno z wyjść — najmniej wesołe. I nie dla wszystkich.

Starodawne „vae victis!" odezwało się i w tej sprawie nowych tułaczów politycznych.

Wzdłuż zaśnieżonego łuku Karpat

TRADYCYJNY RAJD NARCIARSKI.

Z nieopisanym zachwytem powracają rok rocznie z wspaniałego szlaku zimowego uczestnicy Narciarskiego Rajdu Kolejowego wzdłuż Karpat.

Dziesięć dni wędrówki po zaśnieżonych, olśniewających słońcem dolinach lub groźnych stokach górskich. Dziesięć dni swobody, sportowych wysiłków i radości, wycieczek narciarskich, zabaw w uzdrowiskach i zimowiskach.

Rajd kolejowy wzdłuż Karpat — to cudowna kuracja zdrowotna dla znużonych życiem w mieście, dla przemęczonych pracą, dla zdenerwowanych i przygnębionych.

Któż mógłby myśleć o „ciężkich" czasach, o troskach i kłopotach, gdy dookoła roztaczają się przepiękne góry i zielone lasy, tonące w białym puchu, gdy z nartami na plecach, lub na nartach suną wesołe gromady sportowców i turystów.

Od Worochty do Wisły — zaśnieżony łuk Karpat daje oparcie licznym uzdrowiskom, w których uczestnicy rajdu zaznają mnóstwo przyjemności. Więc Worochta punkt wyjścia rajdowców w dniu 18 lutego b. r. — teren najpiękniejszych wycieczek na Czarnohorę, ośrodek barwnej Huculszczyzny z jej strojami ludowemi i oryginalną sztuką.

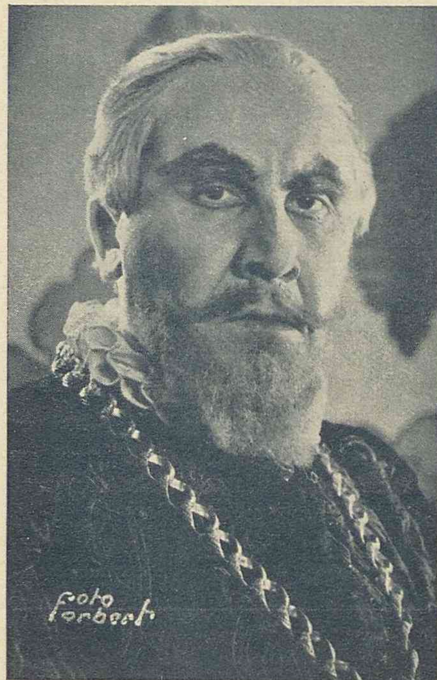
Potem Truskawiec — ślicznie urządzone zdrojowisko, otoczone pagórkami, łatwemi terenami i dla słabszych narciarzy oraz wieżami szybów naftowych w pobliskim Borysławiu i Drohobyczu, wielkich ośrodkach polskiego zagłębia naftowego.

O Krynicy wiele mówić nie trzeba: jest w zimie jeszcze bardziej urocza, niż w lecie. Tor saneczkowy, stadjon łyżwiarski i hokejowy, skocznia narciarska, roją się od młodzieży sportowej. Gwarem i wesołością brzmią sale dancingowe.

Uczestnicy rajdu po dwu dniach, spędzonych w Krynicy, zjeżdżają do Zakopanego, by podziwiać Tatry w śniegu, odbyć znowu parę wspaniałych wycieczek i nacieszyć się sportami: tor saneczkowy, stadjon hokejowy, łyżwiarski i hippiczny, skocznie narciarskie i skijöring dostarczają wrażeń w obfitości.

Zaciszna, sielankowa Wisła, ze swemi znakomitemi terenami narciarskiemi, jest ostatnim etapem rajdu dla uczestników, znających Kraków i Wieliczkę. Inni goście, zwłaszcza zagraniczni, zwiedzą jeszcze w dniu 27 lutego b. r. starodawną stolicę podwawelską i słynne na cały świat saliny wielickie.

Z OPERY



ROMAN WRAGA

w świetnej kreacji króla Filipa w operze Verdiego „Don Carlos", wystawionej z wielkiem powodzeniem w Operze Warszawskiej.

Złota wanna

(jj) Lekarze tureccy ofiarowali Kemalowi Paszy złotą wannę w dowód uznania za zasługi na polu hygjeny, położone przez dyktatora. Kemal nie przyjął cennego daru, polecił złotą wannę przetopić na sztaby i ofiarował je ministerstwu zdrowia na cele szerzenia hygjeny i budowy szpitali w Turcji.

Wielkie reformy życia obyczajowego w Turcji dzisiejszej zaczęły się właśnie od propagandy hygjeny. Jak we wszystkich krajach kulturalnie zacofanych, tak i w Turcji pierwszym znakiem nowoczesnego postępu była walka o hygjenę. Kemal Pasza nie żartował. Akcji uświadamiającej towarzyszyły mocne represje. Za uchybienia w tej mierze karano więzieniem. Skutki są dobre. W Turcji hygjena społeczna stoi wysoko.

A wraz z tradycyjnym brudem znikają inne złe tradycje obyczajowe. Tak się dzieje zawsze.

Ilość zużytego mydła stanowi wszędzie niezawodne kryterjum kulturalnego i cywilizacyjnego poziomu.

NA MARGINESIE KARNAWAŁU

Gdy sięgniemy pamięcią kilkanaście lat wstecz i przypomnimy sobie pierwsze powojenne bale, to na tle toalet pań, skromnych ale nieraz bardzo gustownych i pomysłowych, jakże mizernie przedstawiały się ubiory wieczorowe brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Na całej sali widziało się przeważnie parę fraków mocno przedwojennego kroju, kilka smokingów i zabytkowych żakietów, a pozatem tylko ubrania marynarkowe, nawet niezawsze czarne.

Minęło lat piętnaście i oto ta sama sala balowa przedstawia zgoła odmienny widok. Przeważają fraki, smokingów niewiele, o marynarkach mowy niema.

Z powrotem utarło się przeświadczenie, iż strój wieczorowy dżentelmena nie pozwala mężczyźnie na wykazanie swej indywidualności.

Ulegając nakazom mody, frak wytwornego pana w bieżącym karnawale posiada znacznie dłuższą „jaskółkę", a jedwabne klapy — szersze. Kamizelka z białej piki, bez pleców, z wycięciem przodu w kształcie litery V. Koszule z gorsem na dwie dziurki, wobec wydłużenia wycięcia kamizelki. Kołnierzyk trochę wyższy, o nieco mniej rozchylonych klapkach. Krawatka węższa, bardziej wydłużona.

Pedantyzm mody poprzednich lat — nakazujący, by krawat, gors i kamizelka posiadały identyczny deseń, nie mógł się ostać, ustępując nasuwającemu się logicznie zróżniczkowaniu.

I rzeczywiście, gruba materja kamizelki nie nadaje się wcale na małą wązką krawatkę.

Z kolei materjały waflowe ustępują obecnie — jeśli chodzi o kamizelkę — grubej ukośnej pice i wszelkim innym wzorom o wyraźnym rysunku.

Rewelacją bieżącego sezonu było ukazanie się w angielskich magazynach kompletów frakowych, składających się z kamizelki z grubej białej weby, koszuli webowej z gorsem i przyszytym kołnierzykiem oraz krawatki i chusteczki — tak zwanej „pochette'ki" z lnianego batystu.

Do przeszłości należą obecnie skarpetki jedwabne. Dżentelmen nosi teraz grubszą, $^3/_4$-ową skarpetkę, prążkowaną (do kolan) typu „selfix". Skarpetki przezroczyste i cienkie są „mauvais genre".

Całość wieczorowego stroju uzupełnia duży biały szal z białoczarnym monogramem, klak lub „chapeau d'Opera", laska hebanowa z małą gałką ze srebra, chromu lub platyny.

Wieczorowa biżuterja męska (spinki do gorsu i mankietów) może być wykonana z masy perłowej i chromowanego metalu lub prawdziwych pereł w platynie. Łańcuszek też chromowany. Złoto całkowicie wyszło z użycia.

Wszystkie te przepisy najdokładniej przestrzegane są w Anglji. High life Ameryki słabiej reaguje na ewentualne odstępstwa, dopuszczając nawet na większe bale i przyjęcia miast fraka — smoking, lecz zato z białą kamizelką i białą biżuterją, a tylko muszka pozostaje czarna.



Artykuły mody karnawałowej z firmy A. Frendler Chemisier

BEZPŁATNE PREMJA DLA NASZYCH PRENUMERATORÓW kwartalnych i półrocznych

DRUGA LISTA:

„ROZMOWY Z MUSSOLINIM" E. Ludwiga otrzymali:

p. Karśnicka z Warszawy,
p. St. Tokarski z Warszawy,
p. Marja Drozdowicz z Warszawy,
p. Kazimiera Lissowska z Piotrkowa Tryb.
p. Jan Janas z Białegostoku.

„ZIEMIA ELŻBIETY" P. Gojawiczyńskiej

p. Kosztulski Stefan z Kleczewa,
p. Al. Kwiek z Żychlina,
p. A. Borzewski z Rypina,
p. Mjr. W. Daszkowski z Warszawy,
p. R. Sosnowski z Warszawy,
p. Dr. Rottermund z Warszawy,
p. L. Wańkowicz z Warszawy,
p. Puchowicz Kaz. z Warszawy,
p. Futasiewicz z Warszawy,

„ODWIEDZINY I SPOTKANIA" J. Parandowskiego

p. Węgrowska z Warszawy,
p. Dr. Markert W. z Warszawy,
p. Wolska z Warszawy,
p. Bukowski z Warszawy,
p. Dr. Becli z Torunia,
Zarząd Klubu Urzędniczego w Postawach,
Ks. Ludwik Czetwertyński z Żołudka,
p. Dr. Walcher z Poznania,
p. M. Kosiński ze Skierniewic.

„SWAWOLNA EUROPA" P. Moranda

Stowarzyszenie Prawników z Częstochowy,
Polskie Zakł. Chem. „Nitrat" z Ujazdu,
p. H. Makowski z Kruszwicy,
Biblj. Kas. Urz. „Polmin" z Drohobycza,
Biblj. 58 p.p. z Poznania,
p. Z. Mossakowska z Żyrowic,
Adm. Dóbr Oleszno,
Biblj. Urzęd. Zakł. Ostrowieckich,
Towarzystwo Kasynowe z Nowego Sącza.

PO DWA BEZPŁATNE BILETY DO CYRKU otrzymali:

p. Wolfram,
p. Skoczkówna,
p. Juraczko K.,
p. Łapczyński K.,
p. Iwanowska Irena,
p. Jachowicz Tad.,
p. Martynow T.

ZE STOLIC SPORTÓW ZIMOWYCH



Grupa czołowych narciarzy polskich pod Krokwią.

Fot. Olbrychski



Fot. Olbrychski

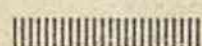
ZAKOPANE KIPI ŻYCIEM SPORTOWEM

U góry: Vivi Anne Hulten, mistrzyni Szwecji w jeździe figurowej, zdobyła mistrzostwo Zakopanego. Na zdjęciu Vivi Hulten i polska łyżwiarka E. Czorówna z Katowic.



ZE ŚWIATOWYCH MISTRZOSTW HOKEJOWYCH W DAVOS

U góry: Wiceprezes Polskiego Związku Hokejowego, red. Leon Chrzanowski, wśród członków polskiej drużyny hokejowej, śledzi przebieg walki.



Na prawo: emocjonujący moment meczu Polska — Niemcy: Słogowski znakomicie broni.



ANGLICY O KOBIETACH



Kilka lat przed wybuchem wielkiej wojny zatonął na pełnem morzu transatlantycki okręt. Z tej katastrofy uratowało się trzech misjonarzy i dwuletni chłopczyk. Wylądowali na odludnej wyspie, którą trzej Europejczycy: anglik, niemiec i francuz skolonizowali, poczem zajęli się edukacją chłopca.

Po dwudziestu latach, spędzonych wśród tubylców i mając w perspektywie powrót do krajów cywilizowanych, postanowili misjonarze uświadomić młodego wychowanka i rzucić światło na problem kobiecy. Anglik miał pewne wątpliwości, czy wogóle dżentelmeni mówią o kobietach, ale francuz i niemiec zapatrywali się inaczej na ten temat, przeto anglik został przegłosowany:

— Kobiety istnieją poto, ażeby je czcić i wielbić — zaczął *Reverend Eustace*, podczas trzeciego wykładu na ten skomplikowany temat — a ta cześć wyraża się w Anglji w najrozmaitszy sposób. Naprzykład: imienia kobiety nie wymawia się nigdy w palarni klubu. Prócz tego mężczyźni otwierają kobietom drzwi i przepuszczają je przed sobą. Zdejmują również na przywitanie kobiety kapelusz, o ile ta kobieta nie jest ich żoną, matką, lub córką. Otaczają kobiety tkliwą opieką, nie wyłączając matek, gdy są stare i żon, gdy są młode. Jednem słowem, anglik spogląda na kobietę, jak na przedmiot godny największego uwielbienia, dopóki oczywiście nie ożeni się z nią.

— A jak potem spogląda na kobiety?

— Na obce wogóle już nie spogląda, jako że jest ożenionym mężczyzną.

— Więc resztę życia spędza, uwielbiając własną żonę?

— Oczywiście... chociaż następne lata mogą przynieść pewne utemperowanie. W Anglji kobiety nie żądają, nie lubią nawet, ażeby ich mężowie uzewnętrzniali swoją miłość, cześć i uwielbienie. Uchodzi to w czasie zaręczyn i przez cztery miesiące po ślubie, ale później uważa się za brak smaku i dobrego wychowania.

— ?...

— Kobiety są z natury rzeczy skromne, nieśmiałe i wstydliwe. Widok przemocy fizycznej doprowadza je do omdlenia. Inteligencja ich nie jest silniejszą od nerwów. Angielka nie posiada żadnych innych ambicji prócz tej, by pozostać tam, gdzie ją (nieopatrznie) postawił anglik, to jest na piedestale. Chce być tylko matką budowniczych państwa w największem państwie świata!

— Kobiety — rzekł pastor Schmi[illegible]. — są najprostszym problemem w [illegible]mało skomplikowanym świecie. Wybierasz sobie kobietę — każda będzie odpowiednia, więc nie zastanawiaj się zbyt długo, bierz pierwszą z brzega — i żenisz się z nią, a potem wprowadzasz ją do kuchni i tam ją zostawiasz. Wszystkie kobiety są szczęśliwe w kuchni, o ile kuchnia jest jej własnością. Powinieneś widywać się z nią od czasu do czasu i skarżyć się, że zupa była za zimna lub pieczeń spalona; a kiedyindziej możesz pochwalić jej wyczyny gospodarskie. Wierzaj mi, że oboje będziecie szczęśliwi. Miejsce kobiety jest w kuchni....

— Kobiety są boskie — rozpoczął swój wykład misjonarz francuski.

— Boskie?

— Jak ptaki, kwiaty i wszelkie dzieła sztuki. Nie istnieje żaden problem kobiecy, tylko kobieta i życie, kobieta, która koncentruje w sobie wszystkie tajemnice świata. Czasem cię znienawidzi, bo ją kochasz — niemniej musisz ją kochać. Inna znowu gardzi tobą, a kochasz ją również. Mogą cię nienawidzić, gardzić tobą, nie ufać ci, litować się nad tobą, śmiać się z ciebie, lub płakać nad tobą — ale kochając je, nie popełnisz największej zbrodni, która spycha mężczyzn na dno piekieł.

— A jaka to jest największa zbrodnia?

— Nie znać i nie kochać kobiety. Słuchaj chłopcze: może ci się będzie zdawało, że każda z nich jest inna? wszystkie są podobne do siebie, więc nie staraj się być inny dla każdej z nich. Niemniej musisz być subtelny, bo one są niesubtelne, musisz być zmienny, bo one są niezmienne. Gdy kobiety uśmiechają się do ciebie, świat jest rajem, a gdy uśmiechają się do kogoś innego, świat jest piekłem, przeto musisz starać się, ażeby uśmiechały się do ciebie. I wierzaj mi, że czas poświęcony na te starania nie będzie stracony.

— Nawet po ślubie?

— Nie mówiłem o małżeństwie, ale o miłości. Szczęście nie leży w małżeństwie, ani w powodzeniu, ani w bogactwie, lecz w miłości. Dobry Bóg stworzył kobietę, ażeby nas kusiła, czarowała, doprowadzała do szału, była źródłem natchnienia, bawiła nas, znęcała się nad nami, jednem słowem, żeby nas czarowała. *C'est tout.*

Takie trzy snopy światła na problem kobiecy rzuca arcydowcipny pisarz A. Macdonell w swojej ostatniej powieści „Jak anioł". Wartoby to zestawić z tem, co mówi na temat wiecznie kobiecy B. Nichols, najpopularniejszy feljetonista— bożyszcze angielek.

Zaznaczyć należy, iż Nichols nie jest zadowolony z współczesnej kobiety (a może tylko z swojej rodaczki), mówi, że nie potrafią dać szczęścia, bo są egoistkami i nie potrafią kochać, gdyż tej sztuki uczą się od kobiet (dobre rady mamy, przyjaciółek, literatek) a nie — od mężczyzn. Nichols jest kawalerem, więc w małżeństwie widzi wiele uroków. Żeby jednak sprecyzować te uroki, w jednym z feljetonów o filozofji małżeńskiego pożycia pisze:

Cobym dał żonie?

1. Bibljotekę: Przedewszystkiem poematy romantyczne — romantyzm jest pożądany w życiu codziennem. Utwory sióstr Bronte — niech wie, że istnieją pewne formy miłości, które są straszne, i niech obejmuje wzrokiem pewne wyżyny, które tworzy mężczyzna, a które ona powinna odwiedzać od czasu do czasu. „Opowieści starych kobiet" — ażeby przypomnieć jej, że są brutalni mężowie. „Źródło samotności" — ażeby wzbudzić w niej współczucie dla nieszczęśliwych sióstr. Sztuki Maughama — ażeby przebaczała mi drobne zdrady małżeńskie i nawet uważała je za szykowne. Freuda, o podświadomości, ażeby mogła wytłomaczyć sobie wiele rzeczy.

2. Lustro. I to lustro postawione w najostrzejszem świetle. Niech się dobrze pozna.

3. Szpinet — bo cicho gra. Niech się nauczy cicho grać, mówić i myśleć.

4. Zapisałbym ją do klubu kobiecego. Iżby nauczyła się cenić własny dom i oduczyła feminizmu....

5. Bilet powrotny do Manchesteru. Manchester jest piekłem! Czwarty i piąty upominek dla mojej żony są przykremi upominkami — ale cel (pedagogiczny) uświęca środki.

6. Dobrą książkę do gotowania.

7. Odkurzacz.

8. Perłę. Nie naszyjnik z pereł, ale perłę po perle do naszyjnika, a każda z nich byłaby symbolem szczęśliwych chwil naszego pożycia małżeńskiego...

(h).

KOSMETYKA PANI ZOJI

W KARNAWALE

Buzia zmęczona nadmiarem maquillage'u, niedospaniem, a nadewszystko przebywaniem w dusznych nieraz zadymionych salach dancingowych — staje się szarą, wyblakłą, zmęczoną.

Jak przywrócić świeżość i jędrność skóry — gdy karnawał długi i może jeszcze nieraz trzeba będzie gdzieś wystąpić!?

Otóż ponieważ wygląd ten spowodowany jest w pierwszym rzędzie brakiem powietrza — dla tego, kto dowolnie rozporządza swoim czasem — najlepiej wyjechać na 2—3 dni gdzieś w podwarszawskie okolice i spacerować na świeżem powietrzu wolnym krokiem, wdychając tlen i wentylując płuca. Jeżeli ktoś nie ma tyle wolnego czasu, a jest sportowcem — w okresie balowania powinien zrobić wypad narciarski, również bodaj w okolice Warszawy; w szerokiem polu, w ruchu—płuca odbywają podwójną pracę i szybko wyrzucą przykre zmęczenie. Dobrze też zrobi spacer samochodem za miasto, gdyby jednak i to nasuwało trudności —proszę wziąść zwykłą „dryndę", ubrać się ciepło, zawinąć nogi kocem i kazać się zawieść na most (my w Warszawie dobrze wiemy, że do spacerów służy piękny most Poniatowskiego). Jechać należy wolniutko i korzystać z tlenu nad obszarem Wisły, głęboko wdychając powietrze.

Taki jeden drugi spacer zbawiennie wpływa na zwiędłą i zmęczoną skórę — lekki rumieniec szybko występuje na policzkach, skóra wygładza się i zdobywa chwilowo utraconą elastyczność.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi Redakcji:

Pani Kryntołiakowa w Inowrocławiu. W tym tygodniu wyjdzie z druku w barwnej szacie nowy katalog, omawiający wszystkie preparaty kosmetyczne oraz metodę pielęgnacji *ELOE-BORYSZEW*, który Pani chętnie przyślemy i który dostarczy Pani żądanych wiadomości.

Pani K. P. Na zmarszczki pod oczami, jeżeli Pani niewygodnie używać kremu w dzień przy bardzo suchej skórze, polecamy *ELOE-MOLINUM*. Na czystą skórę przed snem wtłaczać lekko paluszkami krem *MOLINUM* i pozostawić na skórze przez całą noc — najbardziej zastarzałe zmarszczki znikną wkrótce. Koniecznem również jest zwrócić Pani uwagę na sposób mycia; dla suchej, zwiotczałej skóry otrąbki są szkodliwe; najnowszym środkiem do oczyszczania skóry jest krem *ALBI*, który w 100% zastępuje mydło, delikatnie oczyszczając, pielęgnując skórę. Bezwzględnie radzimy Pani przed myciem wodą stosować krem *ELOE-ALBI*. Wszystkie preparaty może Pani otrzymać za zaliczeniem pocztowem.

Pani Z. W. z Włocławka. Spierzchnięte ręce, aby doprowadzić do dobrego stanu, należy parę razy dziennie myć gorącą wodą, dobrze osuszać i smarować kremem *ELOE-BONA* — po tygodniu ręce nabiorą miękkości, wybieleją, opierzchnięcie ustąpi. Na zwiotczenie biustu, spowodowane karmieniem, posiadamy cudowny środek *ELOE-JUNO*.

Wszystkie informacje o preparatach *ELOE-BORYSZEW* otrzymać można: *Mińska 25, tel. 561-20, Warszawa.*

Zapytania o porady kosmetyczne kierować należy: Salon Zoja, W-wa, Służewska 4.

„KĄCIK PRAKTYCZNY"

DLA GŁODNYCH BRYDŻYSTÓW

Brydżyści nie lubią przerywać gry dla najlepszej nawet kolacji — a ponieważ długotrwałości bridge'a nikt nie potrafi przewidzieć, bywają bardzo głodni. Jeżeli niema innych, nie grających gości, gospodyni może i im dogodzić i sobie ująć kłopotu, zastawiając pod jedną ścianą lub w jednym rogu brydżowego pokoju zimną przekąskę, którą każdy z wychodzących kolejno może się pokrzepić. Ostatecznie, jeśli stolików jest więcej, niż jeden lub dwa i miejsca na stół z przekąską brak, może się on umieścić i w innym pokoju, chodzi głównie o to, aby nikt nie potrzebował myśleć o ciągłem dostarczaniu jedzenia grającym i nikt im w sprawowaniu misterjum bridżowego nie przeszkadzał. Pani domu wszak też gra w bridge'a, a służąca kręcąca się pomiędzy stolikami i wciąż pytająca, czy czego nie potrzeba, jest najgorszą z plag brydżowych.

Przekąskę można ułożyć naprzykład w sposób następujący:

Ostre kanapki:

Malusie kromeczki bułki posmarowane masłem, nałożone krążkiem jajka na twardo i paskiem anchois lub śledzia, królewskiego ulika.

Ryba w galarecie:

Kilo sandacza lub łososia (środkowe dzwona) ugotować w smaku z włoszczyzną, obrać z ości i skórki, podzielić na nieduże kawałki, zalać galaretą ze smaku, w którym się gotowała ryba, zaprawionym żelatyną (2 listki na szklankę płynu). Do tego:

Sos tatarski:

Żółtko na twardo i żółtko surowe, łyżeczka musztardy angielskiej lub domowej, pół szklanki oliwy, sok z dużej cytryny ucierać razem, oliwę lejąc po kropli. Dodać dwa spore korniszony, łyżkę kaparów jaknajdrobniej usiekanych. Z tym samym sosem można jeść roastbef upieczony według przepisu w numerze 4 „Świata", doskonale ostudzony, pokrajany w jaknajcieńsze płatki; każdy płatek zwinięty w rolkę. Półmisek z roastbefem ubrany chrzanem struganym, kartofelkami zaprawionemi oliwą i kwasem ogórkowym, połówkami jaj na twardo, grzybkami marynowanemi, listkami roszponki lub innej sałaty sezonowej.

Surówka owocowa:

Trzy duże jabłka renety, utarte na grubej, jarzynowej tarce, trzy pomarańcze, pokrajane w cienkie plastry, dwa banany równie cienko pokrajane. Wszystko posypane obficie cukrem — pudrem i utartą na tarce skórką pomarańczową. Trzymane na lodzie do chwili podania i polane przed samem podaniem kieliszkiem marasquino lub likieru pomarańczowego.

Parę talerzyków z cienko pokrajanym chlebem i bułeczką. Masło w kulkach. Butelka wódki, butelka Vermouth'u lub portwejnu. Dużo talerzyków, sztućców i kieliszków. Herbata i kawa tylko na żądanie, wyrażone dzwonkiem, i stawiane na uboczu, nie obnoszone dokoła stołów. Zupełna cisza dokoła — możność obmyślania najbardziej podstępnych kombinacyj.

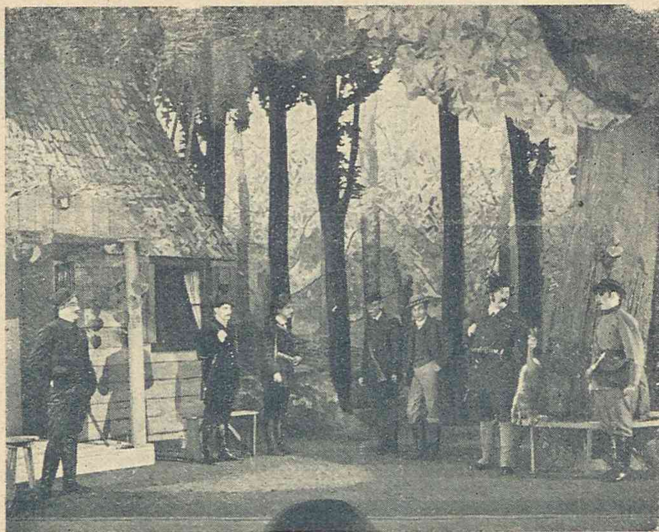
Pani Elżbieta.

Do Krynicy—na „Święto Zimy"!

Dziesięć dni atrakcyj zimowych w przepięknej Krynicy czeka uczestników „Święta Zimy", organizowanego przez Polski Związek Narciarski w dniach 4—13 lutego r. b.

ORBIS we wszystkich oddziałach i agencjach wydaje karty uczestnictwa w cenie po 4 i 6 zł., zależnie od odległości przejazdu i udziela informacyj.

Uczestnicy „Święta Zimy" korzystają z 66% indywidualnych zniżek kolejowych, z licznych zniżek w Krynicy, z wolnego, lub ulgowego wstępu na zawody sportowe. W czasie Święta Zimy przewidziane są: Narciarski bieg 50 km. o mistrzostwo Polski i saneczkarskie mistrzostwa Europy, zawody narciarskie i hokejowe.



Na lewo: Scena zbiorowa z „Rozbitków". Na dole: dyr. Stoma w roli Dzieńdzierzyńskiego. Na prawo: Lili Zielińska w roli Gabryeli.



TEATR MIEJSKI W BYDGOSZCZY

Teatr Miejski w Bydgoszczy wystawił ostatnio komedję J. Blizińskiego *„Rozbitki"* w inscenizacji Adama Grzymały-Siedleckiego i w reżyserji St. Dąbrowskiego. Świetny utwór Blizińskiego znalazł na scenie bydgoskiej doskonałą realizację i według zgodnych głosów prasy wystawienie jego jest prawdziwą chlubą kultury teatralnej w Bydgoszczy.

Na pierwszy plan wybiły się kreacje Dyr. Stomy (Dzieńdzierzyński), Dąbrowskiego (hr. Kotwicz), Balickiego (Strasz) dzięki doskonałej plastyce rysunku psychologicznego figur. Niemniej i role kobiece były trafnie obsadzone: Szambelanicowa w interpretacji p. Podgórskiej i urocza Gabryela w świetnem wykonaniu Lili Zielińskiej. W innych rolach wystąpili p p. Łukowska, Morozowiczowa, Wieczorkowska, Dytrych, Dzwonkowski i Wilamowski

Z FILHARMONJI

w piątek dnia 15-go lutego r. b. o godz. 8-ej wiecz. odbędzie się

WIELKI KONCERT SYMFONICZNY

z udziałem

Orkiestry Filharmonji Warszawskiej,
Jascha Horenstein (dyrekcja),
Karol Szymanowski (fortepian).

W programie:
Beethoven — 5-ta symfonja,
Szymanowski — 4-ta symfonja,
Debussy — Popołudnie fauna.

ANONS.

W piątek 22 lutego r. b. o godz. 8-ej wiecz. odbędzie się Festival ku uczczeniu 125-ej rocznicy urodzin F. Chopina.

z udziałem:

ORKIESTRY FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ

W. Bierdiajew (dyrekcja),
Soliści: *Z. Rabcewiczowa, B. Kon, W. Łabuński, J. Śmidowicz* (fortepian).

W programie utwory Chopina:
1. Koncert fortepianowy e-moll (Z. Rabcewiczowa),
2. a) Warjacje na tematy „Don Juana".
   b) Fantazja na tematy polskie (J. Śmidowicz),
3. Polonez Es-dur (W. Łabuński).
4. Koncert fortepianowy f-moll (B. Kon).



ANEGDOTY TEATRALNE

Przed przedstawieniem w teatrze inspicjent siedział cały dzień w restauracji, gdzie zawarł znajomość z jakimś przygodnym sąsiadem.

Nie mając serca rozstać się z nowym przyjacielem, zaciągnął go ze sobą do teatru.

„Cywil" fatalnie przeszkadzał w pracy inspicjentowi, który i tak miał utrudnione zadanie przez nadmiar spożytego alkoholu. Po pierwszym więc akcie zaprowadził gościa na „sznurboden", („sznurownia" — urządzenie nad sceną z całym szeregiem wązkich kładek i galeryjek), aby stamtąd obserwował sztukę. Po przedstawieniu zamierzali wrócić do knajpy.

Gość, rozmarzony ciepłem i półmrokiem, panującym na „sznurbodenie", zasnął jak kamień.

Po skończeniu przedstawienia inspicjent zapomniał o towarzyszu bachanalji i poszedł do domu.

Trzeba trafu, że poprzedniego dnia w teatrze był incydent, dzięki któremu nocny stróż, który co godzina obchodził wszystkie kąty w teatrze w nocy, został poturbowany przez złodziejaszków, jacy dostali się do wnętrza gmachu przez wyjętą szybę.

Stróż zaopatrzył się w szablę, pożyczoną z rekwizytorni i starożytny pistolet. Tak uzbrojony obchodził z latarką ręczną cały teatr, aż trafił na kładkę nad sceną, gdzie spał przyjaciel inspicjenta.

Można sobie wyobrazić przerażenie nagle obudzonego człowieka, który po wytrzeźwieniu narazie nie miał pojęcia, skąd się tu wziął na wąziutkiej kładce, nad czarną przepaścią, oko w oko z drabem, uzbrojonym w szablicę i pistolet.

Nic dziwnego, że narazie dostał szału i na policji ubrano go w kaftan bezpieczeństwa.

Na drugi dzień podczas próby szeroko komentowano nowy wypadek włamania (i to tak zagadkowego) do teatru.

Inspicjent, usłyszawszy tę całą historję, nagle wszystko sobie uprzytomnił. Uderzył się w czoło, zaklął i czemprędzej taksówką pojechał do komisarjatu uwolnić ofiarę fatalnego nieporozumienia.

Z ZAŁOBNEJ KARTY



Dnia 28 stycznia r. b. rozstała się z tym światem ś. p. Karola z Mücków Neumanowa, wdowa po ś. p. Hugonie Neumanie, znanym w szerokich kołach m. Warszawy obywatelu i przemysłowcu. Zmarła przedstawiała, coraz — niestety— rzadszy, typ prawdziwej matrony polskiej, kapłanki ogniska domowego w całem znaczeniu tego słowa.

Będąc głęboko religijną, szczerą patrjotką, miłującą Ojczyznę całem swem sercem gorąco dla Niej bijącem, obdarzona krystaliczną prawością duszy, wzięła sobie za cel życia wychowanie swych dzieci na dzielnych obywateli kraju, piastujących godnie szczytne miano synów Ojczyzny - Polski, i z zadania tego wywiązała się chlubnie.

O zgasłej matronie można powiedzieć słowami poety, że: „była piękna i dobra zaklęciami".

Zgon ś. p. Karoli Neumanowej okrył ciężką żałobą dwóch synów Hugona i Stefana, dwie córki Jadwigę Eisertową i Romanę Łagodzińską wdowę po ś. p. Kazimierzu Łagodzińskim, D-rze chemji, profesorze politechniki warszawskiej, wnuków, wnuczki, prawnuka i prawnuczkę.

Cześć Jej świetlanej pamięci.

Kurs wyszkolenia pracowników Orbisu

W niedzielę, 3 lutego, o godz. 12 w poł. odbyło się w lokalu Touring Klubu (Kredytowa 5) otwarcie 3-miesięcznego Kursu Wyszkolenia dla urzędników i praktykantów Polskiego Biura Podróży ORBIS.

Na kurs zapisało się 120 słuchaczy.

ORBIS, podejmując pierwszą tego rodzaju akcję w celu wyspecjalizowania fachowców, działa w myśl swych celów: podniesienia poziomu turystyki i wzorowego obsłużenia publiczności w biurach i na wycieczkach ORBISU.

NANCY HALE.

WIOSNA NA PINCIO

(nowela)

Coś się miało stać. Stara, stara pani Carpanter - Carstairs potrząsnęła chytrze swoją piękną, siwą głową; wiedziała, że coś się stanie, a jej córka i wnuczka sądziły, że jest za stara, zanadto zagubiona w mrocznych snach starości, aby to pojąć. Ale ona wiedziała... Potrząsnęła tą ongiś śliczną, ongiś sławną głową i zaśmiała się cicho i mądrze. Przeczuwała — oczekiwała na coś, co jej córka i wnuczka ukrywały przed nią przez cały dzień.

Stara pani Carpenter-Carstairs siedziała w swoim apartamencie, w skrzydle pałacu córki. Stare, ongiś zachwyt wzbudzające ramiona dźwigały wspaniałą suknię z blado lila brokatu, na białych włosach spoczywał półksiężyc cienkiej koronki, a na zwiędłej, lecz jeszcze białej szyi, krzyżyk ze złota i szyldkretu. Maleńkie rączki złożone były na kolanach. Siedziała nieruchomo i składała, dopasowywała swoje podejrzenia, bardzo sprytnie, jak się jej zdawało. Czemuż np. ma zejść teraz do córki na obiad proszony, kiedy zazwyczaj perswadują jej, że to dla niej za męczące? Dlaczego są takie podniecone z tego powodu? Co się ma stać? Dlaczego ubrali ją tak starannie, czemu nałożyli na stopy te maleńkie lila pantofelki ze sprzążkami z brylancików? Czemu? Sądzą, że jest za stara, że ma za słabą pamięć, aby to wszystko zauważyć. Myślą, że pamięć straciła.

Biała główka uniosła się na zwiędłej szyi. Nie zapomniała. Nie zapomniała, że ona jest Lily Carstairs... Lily Carstairs. Piękniejsza niż jej córka i wnuczka kiedykolwiek będą. Nigdy — myślała — nie będą miały jej wdzięku, jej rączek i nóżek. Żadna z nich nie będzie znana jako piękność — jako... jakże to mówiono?... aha, „duma dwóch kontynentów". Czy tańczyły kiedykolwiek z książętami krwi? W bezładnych wspomnieniach długa, błyskotliwa przeszłość stanęła jak blada mgiełka przed pięknemi oczami Lili Carstairs. Sława, przepych, zabawa, intrygi, muzyka, szampan, wielbiciele... Myślała z pogardą o córce i wnuczce. Sądzą, że coś da się ukryć przed jej wzrokiem.

Ukryć, ale co? Co to jest, co chcą przed nią ukryć? Mój Boże, co? Ach tak, przypomniała sobie chytrze i z wielkim triumfem, coś bardzo niezwykłego stanie się dziś wieczór.

A oto córka, w białych atłasach i z trenem, przyszła po nią, żeby ją sprowadzić na dół na obiad. Aż bije z niej to dziwne, hamowane podniecenie.

Kiedy córka ją pocałowała, Lily Carstairs zacisnęła usta; nie była jeszcze zdziecinniała, czuła, że coś się święci.

— Mamo kochana, wyglądasz tak ślicznie. Czy zejdziesz teraz? Jest ktoś na dole, kogo napewno będzie ci bardzo przyjemnie zobaczyć. Ktoś bardzo dystyngowany i godny, prawdziwie wielki pan.

Więc udawały, że to dlatego. Jak gdyby to było coś nadzwyczajnego dla Lily Carstais — *Lily Carstairs* — zobaczyć pana, choćby nie wiem jak dystyngowanego. O nie! — myślała, schodząc po schodach, oparta o ramię córki — jeszcze coś ukrywają, ale nie oszukają jej, o nie..

Jakiegoż to staruszka prowadzą ku niej, aby go przedstawić; takiego starego dziada — omal się nie żachnęła, nie lubiła nigdy starych panów.

— Mamo droga, przypominasz sobie pana de Vries, naszego byłego ambasadora w Italji. Pamiętasz go, mamo, nieprawdaż? — nalegała córka, spoglądając na nią przytem tak dziwnie.

— Naturalnie, przypominam sobie — czując gniew i urazę, Lily wyciągnęła rękę wyniośle, z zaledwie cieniem swego niegdyś sławnego uśmiechu.

Czy pamięta? — myślała sobie, podczas gdy stary pan mówił, mówił coś bezustanku swoim ględzącym głosem. Przeszli do sali jadalnej, usiadł przy niej przy stole i też nie przestawał rozmawiać.

Czy pamięta? — naturalnie, że musi go pamiętać, ale — prawdę mówiąc —



jeśli ten stary dziad wygląda trochę obco, trochę... jakby zupełny nieznajomy... to tylko z tej przyczyny, że to jest właśnie taki typ, na który nie byłaby nigdy uwagi zwróciła. Czy oni sobie wyobrażają, że Lily Carstairs musi pamiętać każdego zgrzybiałego ambasadora, ongiś klęczącego u stóp tego tronu, na którym świat ją posadził.

Ależ rozmowny!... Nienawidziła starości. Przechwalał się w starczem zdziecinnieniu.

Siedziała bardzo prosta, bardzo wytworna i pozwoliła mu opowiadać sobie o Europie. Jej mówić o Europie. Cóż to on mówił tym swoim drżącym głosem, co?

— ...Rzym w kwietniu. Ach, jakaż cudowna wiosna była na Pincio. Ona i ja... Szkoda, że nie mogę przypomnieć sobie jej imienia. Wiem tylko, że była cudna. Chodziliśmy tam, byliśmy zakochani. Jakże ona się nazywała?... — potrząsnął bezradnie głową. — Pamiętam dobrze jej śliczne małe stópki, biegające po zielonej murawie ogrodów.

Jakie dziwnie różowe mgiełki przeszłości stanęły jej przed oczami. Rzym... i Pincio... i miłość... To była część jej przeszłości, ale tak zwiewna, tak zamglona teraz. Część jej cudnej, jedynej przeszłości. Co ten stary głupiec wiedział o takich promiennych dniach chwały, szczęścia i blasku. To właśnie tam w Rzymie, chodząc po ogrodach Pincio, była tak niewymownie, tak strasznie zakochana, wówczas. Wówczas to była najpiękniejsza ze wszystkich, największa miłość. I ten stary grzyb mówi jej o miłości na Pincio. Odezwała się prawie ostro:

— Znałam niegdyś Rzym bardzo dobrze. I Pincio. Kochałam się tam w bardzo przystojnym młodym mężczyźnie. Nazywał się—ach nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. Ale to było uczucie naprawdę piękne. Będę zawsze o niem pamiętała. Przysięgliśmy nigdy o sobie nie zapomnieć.

Dając odprawę staremu ambasadorowi, przestała go słuchać, pozwalając myślom odbiec od niego daleko. Pamiętać i pamiętać.. Ach, tyle jest zawsze do pamiętania.. A przedewszystkiem musi o tem pamiętać, że coś ma się dziś stać, coś przed nią ukrywają.

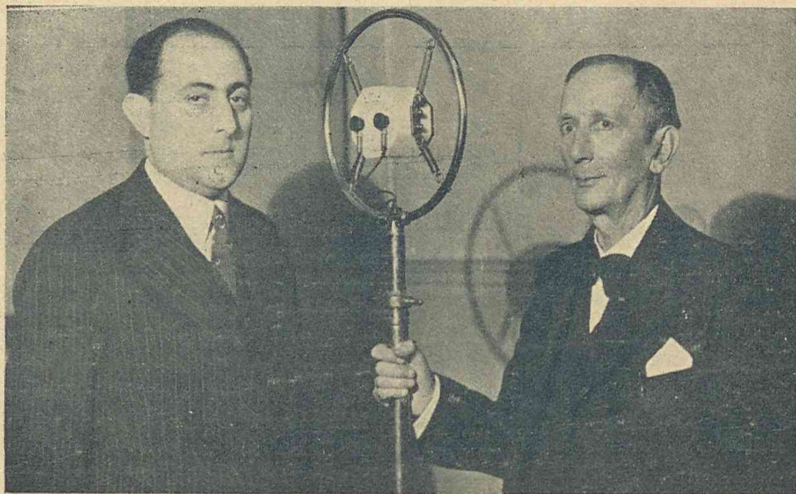
przełoż. *W. Peszkowa.*

Konkurs zespołów salonowych Rozgłośni Polskiego Radja

RADJOSŁUCHACZE MAJĄ GŁOS!!!

Polskie Radjo w szeregu swych imprez konkursowych organizuje jeszcze jedną w dniu 14 lutego o godz. 21.00 (czwartek). Będzie to konkurs zespołów w rozgłośni Polskiego Radja. Każdy z zespołów w przeciągu 10 minut odegra trzy utwory o różnym charakterze. Wykonania te poddane zostaną krytyce radjosłuchaczów, którzy wydadzą opinję o usłyszanych zespołach. Trafne opinje zostaną odznaczone nagrodami. A zatem uwaga! Radjosłuchacze mają głos!

„MILJONERZY PRZED MIKROFONEM"



Liczni abonenci radja mieli możność wysłuchania w dn. 30 ub.m. wywiadu, którego właściciele dwuch ćwiartek obdarzonego przez Fortunę miljonem złotych N-ru 72.450, pp. Urbach i Prowalski, udzielili przedstawicielowi rozgłośni warszawskiej. Rycina nasza uwieczniła chwilę, w której p.p. U. i P. przemawiają do mikrofonu.



OSTROŻNIE Z LOTERJAMI ZAGRANICZNEMI!

Surowa odpowiedzialność za udział w takich loterjach

Jedną z podstawowych cech każdego prawodawstwa jest zasada „nikomu nie wolno wymawiać się nieznajomością prawa". Istnieje cały szereg przepisów prawnych, mało znanych, których przekroczenie pociąga za sobą przykre konsekwencje. Między innemi mało znane są przepisy, dotyczące loterji i gier hazardowych. Niektóre z tych przepisów mają na celu obronę interesów graczy przed wyzyskiem, inne zaś ponadto obronę interesów Skarbu Państwa przed stratami.

Takim przepisem jest art. 114 Ustawy Karnej Skarbowej, który brzmi:

Winni.....

b) uczestniczenia w jakiejkolwiek działalności loterji obcokrajowej na obszarze Państwa Polskiego ulegają karze pieniężnej od 500 do 20000 zł. i karze pozbawienia wolności od 2 tygodni do 6 miesięcy, a ponadto karze konfiskaty losu i t. d.

Z punktu widzenia interesów Skarbu Państwa, loterje obcokrajowe są szkodliwe, gdyż wpływają ujemnie na bilans dewizowy.

Ponadto gracz nie ma żadnej gwarancji, czy dane przedsiębiorstwo pomimo szumnej nazwy, nie jest kombinacją oszukańczą, zmontowaną jedynie dla wyciągania pieniędzy z kieszeni naiwnych.

Po rozmaitych loterjach, opartych na kombinacjach zagranicznych wyścigów konnych, ostatnio jakieś podejrzane przedsiębiorstwo, pod nazwą „La Coloniale — drapacz chmur", rozsyła po Polsce okólniki, zredagowane w języku polskim, odbite na powielaczu, proponujące nabycie losów.

Charakterystycznem jest, iż prowizja kolektorska wynosi 25%, wyraźnie dwadzieścia pięć procent. Jest to suma tak fantastycznie wysoka, iż każdy nawet najmniej inteligentny amator grania zrozumie, iż tkwić tu musi coś bardzo niejasnego.

Pozatem zaznaczyć należy, że w pojęciu prawa, jak to wyjaśnił Najwyższy Sąd w wyroku z dnia 16 kwietnia 1934 (3 K. 200/34), Zbiór Orzeczeń Sądu Najwyższego Nr. kolej. 237, uczestnictwem w działalności loterji państwowej jest nietylko posiadanie losu loteryjnego, ale nawet rozpowszechnianie wiadomości o jakiejkolwiek loterji.

W interesie więc każdego jest zabezpieczenie się przed wszelkiego rodzaju przykrościami, w sposób zupełnie łatwy: otrzymując ofertę i t. p. jakiejkolwiek loterji obcokrajowej, należy ją, wraz z kopertą, w której była otrzymana, bezzwłocznie przesłać do Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej pod adresem: Warszawa, ul. Długa 50.

W ten sposób spełni się nietylko obowiązek obywatelski, ale samego siebie uchroni od przykrych następstw.



CHÓR JURANDA ZAGRANICĄ

Znany i utalentowany kompozytor, a zarazem twórca „Chóru Juranda", p. Jerzy Jurand udaje się niezadługo ze swoim zespołem na występy zagranicę, organizując tourneé po wszystkich niemal stolicach europejskich.

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

PIERWSZE WYKONANIE PIEŚNI ŚLĄSKICH NAGRODZONYCH NA KONKURSIE POLSKIEGO RADJA Wtorek — 21.00.

O Wielkopolsce współczesnej
piątek — 18.45.

Jascha Horenstein i Beweridge Webster
piątek — 20.15.

Stanisław Staniewicz gra utwory Paderewskiego
sobota — 18.15.

To karnawał!!! aud. Muz.
sobota — 20.00.

W 26-ą rocznicę śmierci Karłowicza — koncert
niedziela — 12.15.

Morze w muzyce i pieśni
niedziela — 16.20 i 20.00.

„Zioła i Kamienie" Teatr Wyobraźni
niedziela — 18.00.

„Warszawa przed półwiekiem w anegdocie Prusa"
poniedziałek — 19.30.

„Godzina starych tańców"
poniedziałek — 15.45.

Jerzy Czaplicki
wtorek — 15.45.

„Czarni" — reportaż muzyczny
środa — 16.00.

Janina Romanówna
czwartek — 19.30.



Moda karnawałowa



TAN	KOSZ	RATY
TAN	ZIMA	GON
TAN	ŁUG	RÉK
TAN	ÉKS	PAR
TAN	AZJA	AS
TAN	SÓL	WOP
TAN	RO	METYS
TAN	ŁAN	IA

Nr. 11 (412) Przesuwanka karnawałowa

Ułożył „Zeus"

(Za rozwiązanie 7 punktów)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

W każdej trójce podanych wyrazów poprzesuwać litery, tak, żeby otrzymać 8 nowych słów, których początkowe głoski, czytane pionowo ku dołowi, dadzą aktualne rozwiązanie.

Nr. 12 (413) Zadanie kolumnowe

(Za rozwiązanie 3 punkty)

1		-		-	
2		-		-	
3		-		-	
4		-		-	
5		-		-	
6		-		-	
7		-		-	
8		-		-	
9		-		-	
10		-		-	
11		-		-	
12		-		-	
13		-		-	
14		-		-	
15		-		-	

W daną figurę należy wpisać poziomo 15 pięcioliterowych wyrazów o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Pierwsze zadanie karty w grze, 2) Staromodne perfumy, 3) Potomek Europejczyka i indjanina, 4) Rzeka we Włoszech, 5) Przeklinała, 6) Styl architektoniczny, 7) Miasto w środkowej Europie, 8) Stolica europejska, 9) Rodzaj kwiatostanu, 10) Więzienie paryskie, założone za Ludwika Filipa, 11) Tłuszcz roślinny, 12) Słowo, 13) Spona, zwora, 14) Kaczka młoda, 15) Pierwszy człowiek w mitologji skandynawskiej.

Nr. 13 (414) Metamorfozy

(Za rozwiązanie 6 punktów)

W zdaniach:

1) A I DYONIZY RADWAN ODDA,
2) DAM CI WINO, TELESKOP, SIEKIERĘ...
3) WIDZI ŁAPY SĘDZIEGO NA GÓRNYM GRODZIE,
4) GWIRBHA WIADRO CIECZE,
5) YPOLDA PROSZĄ DO MEKKI
6) PRZEZ OŁUCE DO ZAGAJNIKA,— poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstało sześć znanych przysłów polskich.

FILHARMONJA WARSZAWSKA

KUPON № 4

ze zniżką 50%

Ważny na Koncert Symfoniczny dn. 15 Lutego 1935 r.

Uprawnia do nabycia w kasie Koncertowej do godz. 7.30 w dniu Koncertu, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego Koncertu

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 14

ze zniżką 30%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"

KUPON № 14

ze zniżką 50%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 14

ze zniżką 50%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa



TANIE ŹRÓDŁO

ŻYRANDOLE
I LAMPY
ELEKTRYCZNE

ŻELAZKA ELEKTRYCZNE
CZAJNIKI
KUCHENKI
MASZYNKI DO KAWY

ELEKTROMEDYCYNA
LAMPY
KWARCOWE

MATERJAŁY
INSTALACYJNE

WŁASNA PRODUKCJA



BRACIA BORKOWSCY

S.A.

ZAKŁADY ELEKTROTECHNICZNE

• WARSZAWA •

GROCHOWSKA 45 • AL. JEROZOLIMSKA 6 • BRACKA 12
POZNAŃ • AL. MARCINKOWSKIEGO 23 — KATOWICE • STAWOWA 9
LWÓW • AKADEMICKA 7 — BYDGOSZCZ • GDAŃSKA 23